Nr. 40 (1293). Warszawa, 14 (1) Października 1905 r. Rok XXV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
w Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Hoża Nr. 19.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.
Korespondencyj nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.
Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA

Odkrycia Delcassego.

W czerwcu r. b. upadł we Francyi minister, o którym powszechnie wyrażono zdanie, że chciał ją wciągnąć w niebezpieczeństwo wojny. Dzienniki w stosunku do Niemiec zamykające cały swój rozum stanu w ostrożności, nie wahały się nawet wówczas mówić, że Francyę w niebezpieczeństwo takie już był wtrącił, i tylko czujność p. Rouviera, prezesa gabinetu, ocaliła pokój. Stało się to wszystko podczas sporu o Marokko, od chwili zwłaszcza odwiedzin cesarza Wilhelma w Tangerze, prowadzonego przez dyplomacyę niemiecką z wyraźną natarczywością. Minister, narażający Francyę na nową rozprawę wojenną z takim olbrzymem militarnym, jakim jest dziś państwo niemiecko-pruskie, ustąpić musiał miejsca innemu, któryby w odpieraniu natarczywości niemieckiej umiał wywołane niebezpieczeństwo zażegnać, a nie poświęcając istotnych interesów swego narodu, przez zrzeczenie się nieistotnych zmusił same Niemcy do zmiany taktyki z ostrej na łagodną. Takim człowiekiem okazał się Rouvier. Umowa z Radolinem, d. 8 lipca zawarta, jest owocem tego politycznego rozsądku, który u steru Francyi na zewnątrz zastąpił nierozwagę, zbytnią patryotyczną krewkość, a może nawet i lekkomyślność Delcassé'ego.

Tak przedstawia się upadek ministra w świetle podręcznych latarek zapalonych w pierwszej połowie czerwca przez całą prawie prasę paryską, ku wielkiej radości Jaurèsa, niepodzielanej o ile pamiętamy, przez jedną tylko *Aurore* Clémenceau. Dzienniki niemieckie, zwłaszcza małe i głośno krzyczące, jak *Tageblatty*, śpiewały *unisono* z paryskimi, i oddawna już nie było takiej tożsamości między ludźmi, sterującymi opinią obu narodów, jak w owej chwili upadku jednego człowieka, który gubił Francyę i wystąpienia drugiego, który ją miał ocalić. Dziennikarstwo, jak prawie zawsze w ważniejszych, a z natury rzeczy w tajemnicy ukrytych zawikłaniach dyplomatycznych, dopuściło się przesady w tem, o czem wiedziało, zmyślenia w tem, czego wiedzieć nie mogło. Chcąc sumiennie orzec czy Delcassé gubił Francyę, musiałoby pierwej dobrze wiedzieć: czy groźba wojny nie wyszła od Niemiec; czy nie będąc wyraźną, nie była jednak rzeczywistą; czy Radolin w Paryżu lub sam Bülow w Berlinie podczas układów w kwietniu i maju nie rzucił jakiego słowa, któreby ta psychologia *in actu*, jaką każdy dyplomata ustawicznie praktykować powinien, musiała już przyjąć za symbol groźby, a zatem i żywionej woli działania orężem, gdyby działanie słowami zawiodło?

Jeżeli po zbadaniu wszystkich świadectw, które dopiero historya do rąk swoich dostanie, okaże się, że istotnie wyzwanie wyszło od Niemiec, że teutońska pycha, której wytrysk widać już w samych odwiedzinach tangerskich, chciała przez zaostrzenie sprawy marokańskiej, w ujawnianych pobudkach absolutnie błahej, upokorzyć Francyę samym postrachem wojny — wtedy odwrócą się rozdawane przez dziennikarzy dzisiejszych role: zbawcą będzie Delcassé, a krzywdzicielem Rouvier. Honor narodu jest dobrem równie wielkiem jak jego całość, którą każda wojna na szwank naraża; kto broni honoru narodowego, broni i narodu. Z chwilą, gdy rozsądek nakaże honorowi milczenie, zmilknąć też musi i ten głos życia, w którym wydziera się z głębi istoty poczucie swego *ja*, będące zawsze świadomością siły i niedające się nigdy sfałszować pychą niemocy. Jeżeli w danej hypotezie historya będzie zmuszoną potępić Delcassego, to nie zato, że honoru Francyi bronił, ale zato, iż nie wiedział, że sama Francya honoru swego skutecznie już wobec Niemiec obronić nie zdoła. Usiłowanie, wywołujące widmo wojny, było w takim razie rzeczywistem niebezpieczeństwem, upadek — koniecznym, a przyjście nowego człowieka — zbawiennem. Lecz wtedy Francya tak wydobywana z niebezpieczeństwa przestaje już być w stosunku do Niemiec narodem żyjącym pełnią swej istoty, posiadającym pełne poczucie swej indywidualności i równoległe z niem poczucie honoru; wtedy ontologiczną świadomość siły zastępuje w niej konkretne rozpoznanie i stwierdzenie własnej swej niemocy.

Odkrycia, które Delcassé poczynił w paryzkim *Matin* z d. 7 b. m., nasuwają myśli rozpaczliwe dla Francyi, a nietyle jeszcze one same przez się, ile przez wrażenia, zdania, sądy, które w dziennikarstwie, więc i w opinii narodu, wywołały. Nie łagodzi tego charakteru wątpliwość, jaką umysł poważny mieć może w obec odkrytych faktów, bo najpierw na ogół przyjęto je z wiarą w ich rzeczywistość, a potem nawet niewiara powinna była objawić się inaczej, jeżeli rzeczywiście Francuzi nie lękają się Niemców i nie potrzebują honoru swego wobec nich trzymać na munsztuku rozsądku. Gdy Delcassé, wyręczając się p. Lauzanne, redaktorem pomienionej gazety, mówi Francuzom, że na radzie gabinetowej w dn. 4 czerwca zawiadomił kolegów swoich o porozumieniu z Anglią, że miał ustne, ale gotowe wcielić się w pismo, przyrzeczenie

ministrów angielskich, iż kanał Wilhelma, przecinający podstawę półwyspu jutlandzkiego, zajmą swą flotą, a w Szlezwigu i Holsztynie wysadzą na ląd sto tysięcy wojska angielskiego—prawdopodobieństwo kłamstwa, zmyślenia lub przesady jest tak małe, że gdyby Francuzi nie byli dotknięci kalectwem trwogi wobec Niemców, przy temperamencie swoim byliby przedewszystkiem w odkryciach dostrzegli wielki moment dziejowy, dający im sposobność do zatarcia niedoli i odzyskania strat Strasznego Roku. Nawet poczucie niemożliwości zmierzenia się z Cesarstwem, któremu straszny ów Rok właśnie dał życie, przy większej tęgości duchowej byłoby wprawiło w drgnienie strunę czystego patryotyzmu, strunę zawsze tem czulszą, im większe jest wobec ideału poczucie materyalnej niemocy. Żaden taki objaw nie zamącił spokoju zadowolonej z siebie ruwieryady. Francya czuje się wobec Niemiec bezsilną. Przymierze z Rosyą, jeśli jest, nie wzmacnia w niej samowiedzy potęgi, nawet dziś, gdy się już wojna skończyła. Nieuniknione starcie z Niemcami o Belgię i Holandyę—przy zgodnem współdziałaniu z Anglią—zastępuje dziś zmiecioną już, zwianą, pogrzebaną nieodwołalnie kwestyę alzacką—jest programatem przyszłości, w której Francya, choć słabsza, zmierzyć się będzie musiała z Niemcami, aby już życia swego bronić. Do chmurnego jutra prowadzi ją ponury dzień dzisiejszy. Nic lepiej nie stwierdza jej niemocy wobec Niemiec nad wyrok wydany przez ministeryalny *Temps* na politykę Delcasségo: przymierze byłoby korzystnem dla Anglii, ale nie dla Francyi. Tak jest, Anglia zniszczyłaby flotę niemiecką, ale Niemcy zniszczyliby armię francuską. *Pauvre France!* Potwór niemiecki wciąż się rozrasta, a polityka rosyjska wzrostowi jego dopomaga.

List z Wiednia.

Październik.

Interwencya Gautscha w sprawie węgierskiej rozbudziła uśpione namiętności polityczne, pchnęła do nowych czynów i dowiodła wszystkim żywiołom postępowym w Austryi, że dalsze, spokojne znoszenie ucisku narodowościowego i politycznego szkodzi nietylko ich własnym interesom, ale staje się zaporą dla innych.

Pierwsza porwała się partya robotnicza, zwołując ogólną, państwową konferencyę, dla dania odpowiedzi Gautschowi i uchwalenia wspólnej akcyi, któraby pokazała, jak głęboko proletaryat, zamieszkujących Austryę ludów, odczuł wyrządzoną mu zniewagę, jak bardzo pragnie rozciąć pęta V kuryi, krępujące jego życie polityczne. I lepsze żywioły mieszczańskie, zniechęcone polityką dworu na Węgrzech, jego zupełną nieudolnością w kierowaniu sprawami wewnętrznemi, ujawniającą się coraz bardziej, odczuły potrzebę doniosłej reformę stosunków parlamentarnych. Przeciw Gautschowi więc, który 26 września otworzył sesyę patetycznem „oświadczeniem" przeciw pewnym partyom, zarzucającym mu udaremnienie planów gabinetu Fejervarego, powstał z oskarżeniem nietylko socyal-demokrata Pernerstorfer, ale i Lecher, postępowiec niemiecki a nawet konserwatysta br. Morsey, który też pod naciskiem chwili stał się zwolennikiem powszechnego i równego prawa wyborczego! Kłamliwe frazesy Gautscha znalazły istotnie gorące poparcie—tylko w W. Dzieduszyckim, prezesie Koła polskiego, który przemówił w obronie nietylko dynastyi, ale i wielkomocarstwowego stanowiska Austryi, jednolitej austryackiej armii i szlacheckich przywilejów.

Tymczasem krwawe zajścia w Bernie morawskiem wykazały najdobitniej opieszałość rządu w obec zagadnień narodowościowych, oraz zbrodnicze już dziś zaniedbywanie najważniejszych obowiązków administracyi państwowej.

Między posłami morawskimi toczy się zażarta walka o wybór miejscowości dla nowo utworzyć się mającego uniwersytetu czeskiego na Morawach. Czesi chcą go mieć w Bernie, jako w stolicy kraju. Niemcy zaś, którzy stolicę morawską liczą naturalnie do swego „stanu posiadania", żadną miarą nie godzą się na to, grożą zaciętą obstrukcyą i wzamian proponują Czechom Ołomuniec. Jest to spór zupełnie analogiczny z tym, który od lat paru toczy się między Niemcami a Włochami w Tyrolu i coraz ostrzejsze przybiera formy. Sporów takich w najbliższej przyszłości więcej jeszcze w Austryi spodziewać się można. Na tym, przesiąkniętym pamięcią doznanych krzywd, zawiścią, zaborczością i chęcią samoobrony, gruncie rozwiązanie ich w imię abstrakcyjnej sprawiedliwości jest zupełnie niemożebnem. Zapobiedz starciom w krajach o narodowości mieszanej zdoła tylko postawienie ogólnej zasady o szkołach wyższych, wprowadzenie w życie *autonomii narodowościowej*. Tymczasem słuszność mają zarówno Czesi, powołujący się na to, że stanowią 81% ludności morawskiej jak i Niemcy, nie chcący wobec wrogich stosunków z Czechami dopuścić do utworzenia czeskiej uczelni w niemieckiem przeważnie mieście.

Na dzień 1 października Niemcy, w obec grożącego niebezpieczeństwa dla swego „stanu posiadania", zwołali wiec niemiecki do morawskiego Berna, aby pokazać austryackim ludom i rządowi, jak żywe jest w ich szeregach poczucie solidarności narodowej, jak wielką gotowość uniemożliwienia pracy parlamentarnej w razie targnięcia się na ich uprzywilejowane stanowisko. Ażeby dać dowód siły i gotowości do walki, Czesi na ten dzień zwołali „wiec czeski" do Berna. Przyszło więc do wybuchu, którego spodziewali się wszyscy—prócz policyi berneńskiej. Zaraz na dworcu kolejowym starły się obie strony. Tu rozpoczęły się pierwsze bójki, a w godzin parę tysiączne tłumy zalegały już ulice, po wszystkich zaułkach przychodziło do walki na pięście, bandy, uzbrojone w kamienie i kije niszczyły z zapałem cudzy „stan posiadania". W tej walce Czesi okazali się silniejsi, gdyż mieli po swej stronie rdzennie czeską ludność przedmieść i wszystkie żywioły skorsze do kija, podczas gdy Niemcy mają tu współbraci przeważnie wśród inteligencyi i „szanującego się mieszczaństwa". Kilkaset osób poniosło obrażenia, w końcu, gdy policya, zaskoczona ogromnymi rozmiarami zaburzeń, wzięła się do przywraca-

2)

Kobieta—dzieło mężczyzny.

(KVINDEN SKABT AF MANDEN).

STUDYUM.

Ciąg dalszy.

Nie kobietami zajmuje się dr. Weininger, lecz „kobietą", czystem *k*. Ale czyste *k* podobno nie istnieje, łatwo też zrozumiałem jest, że wprowadza go w błąd nieczyste, duchowe życie prawdziwych, żywych kobiet, o ile o takiem życiu u nich można mówić. Właściwie przecież zapewne one dostarczyły mu owych gorzkich doświadczeń.

Wszystko, co wiemy o duchowem życiu kobiety, wiemy od mężczyzn—mówi autor. Nie ulega kwestyi, że w ostatnich czasach jakieś pół lub trzy ćwierci kobiety dały nam nieco jej psychologii — ale to jest bez znaczenia." Nie, nie, ale skoro czyste *k* wcale nie istnieje a powtóre nie posiada żadnej duszy, więc jakże?

A jak *mężczyzna* może coś wiedzieć o duszy, która nie istnieje? Może chyba, jak się zdaje, wiedzieć coś niecoś o półkobiecie i trzy ćwierci kobiety. Autor mimo wszystko twierdzi jednak, że mężczyzna dał bardziej wartościowe wiadomości o duchowem życiu kobiety, pyta więc sam, jak *to* jest możliwem? Tu—odpowiada—musimy uciec się do owego pierwiastka kobiecego, tkwiącego w każdym mężczyźnie. Ponieważ każdy mężczyzna ma w sobie coś z kobiety, dlatego może ją rozumieć i dać o niej pewne szczegóły.

Widocznie więc w dr. Weiningerze dużo było kobiety, gdyż nigdy dotąd życie duchowe kobiety nie było poddane gruntowniejszej analizie i badaniu, nigdy przedtem nie częstowano nas tylu „szczegółami" o różnolitości i okropności jej istoty. I rzadko też, niestety, rozumiano nas lepiej, mimo wielkiej samowoli i licznych nieuzasadnionych twierdzeń. A więc przecież *un homme*—lecz z pewnemi zmianami.

Przedewszystkiem dowiedziałam się tedy od Weiningera, że usiłując dać nieco autopsychologii, dowodzę tem, że jestem pół lub ćwierć kobiety, że szczegóły o mnie samej nie mają żadnego znaczenia dla zrozumienia „psychologii kobiecej." Chyba, że okaże się, iż natchnął mnie do tego mężczyzna.

I tak się rzecz ma w istocie. Gdyż książka dr. Weiningera stała się przedmiotem głębokich moich rozmyślań. Czyż więc jego teoryą dałoby się wytłómaczyć wszystko, co niejasne i na pozór bezcelowe w charakterze kobiety? Czyż *to* mogłoby stanowić wytłomaczenie wszystkich naszych cierpień, które przechodzimy dlatego, że nasza istota najwewnętrzniejsza nigdy nie może być w zupełnej harmonii z naszą wolą i usiłowaniem stania się człowiekiem w tem samem znaczeniu tego wyrazu, co mężczyzna—obywatelem, członkiem społeczeństwa, człowiekiem myślącym? Czyżby *to* było rozwiązaniem zagadki, której nie mogę rozwikłać—zagadki, którą jestem ja sama?

Czytałam dzieło *Płeć i charakter* w bezustannem podnieceniu. To odrzucałam książkę z gniewem, to znów ją bratam do ręki, czytałam, raz w raz wykrzykując:—Ależ, to już *za* brutalne! To ordynarne! Lecz niebawem w duchu musiałam przyznać, że tak łatwo z tem się nie uporam. Skoro mnie to oburza i gniewa, jestem widocznie zamało rozwinięta, zamało umiem a przedewszystkiem nie chcę uznać prawdy. Bo prawda *tkwi* w tej książce! Dużo prawdy, ale też i dużo chorobliwości. Z uczuciem wdzięczności myślałam o własnem zdrowiu, i w duszy mojej nagle zagościła wielka radość, gdyż poznałam prawdę a mianowicie, że *jedna* jest rzecz wyższa po nad wszystko, potężniejsza i okrutniejsza, piękniejsza i silniejsza, niż wszelka inna moc na niebie i ziemi, a ponieważ moc ta

nia porządku, padła i ofiara życia ludzkiego—czeski rzemieślnik, któremu wyprawiono wspaniały pogrzeb, wielką, czeską, narodową demonstracye...

Bliskość dyskusyi nad wnioskami w sprawie reformy wyborczej sprawiła, że zaburzenia berneńskie nie wywołały w parlamencie żywszego echa. Nawet epizod ze szklanką wody, którą znany błazen parlamentu hr. Sternberg, Czech, rzucił w posła Wolfa (wszechniemca) przerywającego mu mowę natrętnymi wykrzykami, szybko w drodze ugodowej został załatwiony. Wszyscy czuli nadejście chwili takiej, jakiej już od lat wielu w parlamencie austryackim nie było, wobec której wszystko ustąpić musiało.

Oprócz Niemców postępowych, którzy się boją o swoją przewagę, opartą głównie na przywileju wyborczem, i Koła Polskiego, które swoje mandaty zawdzięcza przeważnie systemowi kuryalnemu, wszystkie prawie inne stronnictwa przedstawiły wnioski nagłe o powszechne, równe prawo wyborcze: socyaliści, młodoczesi, czescy radykali, Słoweńcy i Rusini. W rzędzie domagających się zniesienia przywileju wyborczego stanęli nawet i niemieccy klerykali, choć naturalnie troska o niemiecki „stan posiadania" każe im obawiać się „równego" prawa wyborczego, widzieć w niem jakąś klęskę żywiołową, która ich zmiecie z powierzchni ziemi.

Wzgląd na regulamin Izby, zapewniający przedłożeniom rządowym i t. d. pierszeństwo przed wnioskami posłów, nakazał zwolennikom reformy obrać postać „wniosków nagłych", które przy należytem poparciu wchodzą zaraz na porządek dzienny obrad, ale do przejścia potrzebują dwóch trzecich głosów. Głosowanie obecne, poprzedzone dwudniowemi, poważnemi i rzeczowemi debatami, w czasie których ujawniła się doniosłość zagadnień, związanych z rozszerzeniem praw politycznych, z równouprawnieniem jednostek i narodowości, wykazało jednocześnie w sposób jaskrawy, jakie postępy uczyniła w Austryi myśl powszechnego i równego prawa wyborczego. W r. 1896 wniosek nagły Havika (równe, powszechne prawo wyborcze) uzyskał ledwie 65 głosów, obecnie zaś za wnioskami nagłymi w sprawie reformy wyborczej zebrało się 155 głosów, 114 przeciw. Większość więc oświadczyła się za zniesieniem przywilejów.

Prócz Dzieduszyckiego nikt nie śmiał stanąć w ich obronie. Ciągle tylko, uporczywie powtarzającym się motywem, była obawa, że przy równem prawie wyborczem wyżej gospodarczo i kulturalnie rozwinięte narodowości będą musiały ustąpić miejsca w parlamencie niżej stojącym. Podnosili zaś tę kwestyę nietylko Niemcy, drżący o swój przywilej w krajach sudeckich, ale nawet i Czesi. Poseł Kramarz oświadczył, że przy rozszerzeniu prawa wyborczego słabsze podatkowo kraje, jak Galicya, nie mogą mieć pretensyi do ilości posłów, odpowiadającej ilości mieszkańców. Dzieduszycki mu odpowiedział, że dopóki istnieje przywilej szlachecki, dopóty Koło godzić się będzie na krzywdzenie Galicyi, ale ze zmianą reformy wyborczej, przedstawiciele Galicyi muszą utrzymać $^1/_3$ ogólnej liczby mandatów, bo inaczej Polacy każdą reformę udaremnią. Gdzie się przywilej kończy, tam hr. Dzieduszycki jest za bezwzględną sprawiedliwością—zwłaszcza jeżeli tem żądaniem przewlec może chwilę obrachunku.

Jak fałszywe jest zresztą stanowisko liberałów niemieckich, którzy ze względów narodowościowych sprzeciwiają się wprowadzeniu równego prawa wyborczego, wykazał dobitnie w świetnej mowie członek ich własnej partyi, Lecher. Zacietrzewienie postępowych partyj niemieckich doszło do tego stopnia, że teraz głosują razem z Kołem polskiem, z konserwatywnymi posłami wielkiej własności. Naród, który się w Austryi uważa za reprezentanta kultury i postępu, pomaga robocie żywiołów najreakcyjniejszych, co poseł Daszyński w dosadnych słowach wyświetlił i poddał zasłużonej ocenie. Lecz choć koalicya Koła polskiego z Niemcami przedłużyła żywot kuryom wyborczym, parlament cały, prasa i społeczeństwo czuje i wypowiada, że kwestya nowego prawa wyborczego nie zejdzie już z porządku dziennego w Austryi.

Przerwana w parlamencie walka o to prawo przeniosła się do sejmów. Na 10 b. m. — dzień otwarcia sejmu czeskiego—zapowiedziana jest wielka demonstracya robotnicza w Pradze, uchwalona przez komitet czeskiej i niemieckiej soc. dem. Praga będzie świętować—w ogólnem bezrobociu, z prowincyi czeskiej zapowiedziane są liczne deputacye robotnicze do marszałka ks. Lobkowitza, jako do prezydenta sejmu, mające mu wręczyć rezolucyę za prawem wyborczem. Znowu przejdzie parę tygodni wśród ożywionych rozpraw i ożywionego ruchu wyborczego.

Austrya od paru miesięcy żyje ciągle w oczekiwaniu jakiegoś „dnia", który ma przynieść żywsze wyładowanie energii, żywsze starcie i natarcie. Trzymająca ster rządu klika i egoistyczne partye, oparte na szlacheckim przywileju starają się aby te wszystkie, zapowiedzią doniosłych zdarzeń zdające się być chwile, przeszły bez następstw, bez wpływu — jako widowisko ku uciesze gawiedzi. *hgl.*

TYDZIEN POLITYCZNY.

Odkrycia Delcasségo, z których najważniejszem jest odsłaniające gotowość Anglii do przyjścia Francyi ze zbrojną pomocą podczas oporu o Marokko, nie doznały zaprzeczenia ze strony rządu francuskiego; gdyby zmyślonemi były, niezawodnie wystąpiłby, bądź sam Rouvier, bądź który z jego kolegów. Z Londynu tylko wysłano telegram zbijający twierdzenie Delcassego; nie jest on dowodem, pokazuje tylko, że dyplomacya angielska potrzebuje w interesie bądź własnym, bądź samego Rouviera przeczyć, póki się da. Dzienniki wciąż się zajmują sprawą, nie widać jednak, aby rozumiały o co w niej głównie chodzi. Zasadnicze zestawienie przez *Temps* przymierza rosyjskiego z dobrem porozumieniem angielskiem, dla wykazania wyższości pierwszego nad drugie, pozbawione jest dowodu prawdy, dostarczyć go zaś mogłoby tylko wykazanie liczbami i faktami większej gotowości i większej też dzielności przyjacielskiej pomocy rosyjskiej, niż angielskiej. W dotychczasowych, od r. 1888, stosunkach rosyjsko-francuskich znaleźć nawet początku takiego dowodu niepodobna.

Król węgierski brnie dalej w spór z narodem węgierskim: zebrany dn. 10 paźdz. sejm odroczył do 19 grudnia. Stało się to w liście odręcznym do prezesa Izby poselskiej Justha, ministrowie bowiem tymczasowo urzędujący, a do tego niekonstytucyjni, nie mieli odwagi sami woli królewskiej Izbie oznajmić; żaden też z nich nie pojawił się w murach sejmowych. Przeciwko odroczeniu uchwalono protestacyę,

---

staje się przez nas, dlatego wielką i piękną rzeczą jest być kobietą!

Za naszem pośrednictwem dokonywa się dzieło tajemnicze. Otrzymałyśmy miejsce w najświętszej świętości wszechnatury. Mogęż tedy zazdrościć mężczyźnie, który wykonywa tylko niższe czynności życia? Czyż mogę pragnąć zostać mężczyzną?

Nie, nie zazdroszczę mężczyznom, gdyż im się stała krzywda. O ileż bowiem jejesteśmy bogatsze w porównaniu z nimi! My, które posiadamy i dziecko i męża.

My, które posiadamy całą, niepodzielną, wieczność kochania. My, które *jesteśmy* tajemnicą! Drzewem, tkwiącem korzeniem w ziemi a koroną het, w górze! My, które *wydajemy na świat* mężczyznę!

Piszę to, co następuje nie dlatego, aby mi uwierzył mężczyzna, lecz abym siebie samą utwaliła w wierze.

Jestem dobrze się mającą żoną uczonego, wcale powabną, zdrową, dość rozumną i mam zdrowe, ładne, zdolne dzieci.

Zawsze byłam, jak to mówią, „otwartą głową," praktyczną, dobrze się oryentującą w rzeczach tego świata, mimo braku wiedzy gruntownej.

„Wyższa szkoła dla dziewcząt", do której uczęszczałam, postawiła sobie za ideał uczynić z nas damy, którémi możnaby się popisać, a do tego celu nie trzeba nas było przeciążać uczonością.

Wyszłam za mąż w dwudziestym roku życia i mam jeszcze tego samego męża, chociaż obecnie jestem kobietą trzydziestoletnią. Jeżeli mówię o sobie, jako o dobrze się mającej, nie chcę przez to powiedzieć, że jesteśmy bogaci. Przeciwnie — pieniądze, które zarabiam swojemi talencikami, znaczą coś w naszem gospodarstwie. Posiadam bowiem talenty. Niestety, w liczbie mnogiej; mam też pewną ilość słabostek dość kosztownych a lubię sama na nie łożyć—jestem bowiem kobietą nowoczesną.

Żyjemy bardzo spokojnie, dom nasz jest domem pracy. Tęsknię, ach, zbyt często, do życia, światła, wesela, do „powietrza i skrzydeł", lecz stosunki nasze towarzyskie przestały mnie nęcić. Moje małe próby wzlotów kończyły się zawsze nędznem fiaskiem. Zbolała, głęboko rozczarowana, po każdej takiej nieudanej próbie chowałam się do swojej samotnej izdebki, pełnej kwiatów i słońca, prześwietlającego przez zielone szyby. Późnymi wieczorami siadywałam u kominka, na którym płonął ogień, ożywiając i zabarwiając martwe naokoło przedmioty i spoglądałam w oczy życiu. Czegóż chcesz, moja pani? Jesteś stara! Nie powietrza ci brak, lecz skrzydeł! Widziałaś, co to jest życie — minęło już ono. Tak, minęło! I ogień gasł, a ja znużona, zziębnięta wsuwałam się do pustego łóżka. Jako inteligentni, nowocześni ludzie, szanujący w małżeństwie indywidualność, mamy, naturalnie, dwie sypialnie.

Mój mąż żyje dla nauki. Widuję się z nim przy stole a czasem słyszę go w pracowni, w której spędza dni i noce ze swojemi książkami. Praca podkopała mu zdrowie i życie niema dla niego żadnego powabu. Zna świat, wie dużo i rozumie dużo a mało się spodziewa i mało wierzy a nawet pessymizm jego doprowadzi go może do zupełnego wycofania się ze świata. Co rok odbywa podróż naukową a co rano pracuje po kilka godzin w publicznych bibliotekach.

Emancypacyjne dążenia nowoczesnej kobiety rażą mego cichego męża. On wolałby spokój i dawny porządek, ale nigdy nic nie potępia. Mówi tylko: „To jest niewygodne dla nas, mężczyzn, ale rozumie się, ma swoją naturalną przyczynę. Skoro mężczyzna nie może się nadal utrzymać na stanowisku pana, musi się stać sługą". Czuć w tych słowach pewną gorycz, lecz nic ponad to. Jest on człowiekiem wykształconym, zresztą właściwie bardzo mało go to wszystko obchodzi. On marzy o klasztornej ciszy i nie chciałby dożyć starości. Dzieci nasze są mu obce, od pierwszej chwili powierzył je mnie całkowicie. One są „moją rzeczą." We mnie bywa jeszcze od czasu do czasu zakochany, a jego zakochanie się miało zawsze inny charakter, niż moje. Było ono natury wybuchowej, a między jednym a drugim wybuchem nie byłam dla niego kobietą. Gdy przeciwnie on *zawsze* dla mnie był „mężczyzną". Przez pierw-

zredagowaną zawczasu przez Andrassego. Posiedzenie było burzliwe, ale nie wyszło z kolei niezbędnego porządku. Tisza miał jakąś mowę, po której liberalni wraz z nim opuścili zebranie. Stronnictwo to nie ma już nawet 150 członków, gdy koalicya Kossutha, Apponyego, Banffy'ego i Polonyego liczy przeszło 230. W całej Izbie jest 413 posłów, a wraz z 40 delegatami kroackiemi 453, mają więc narodowcy, czy ultra-narodowcy dzisiejsi, absolutną większość.

Myśl głosowania powszechnego na hasło Kristoffyego wyłoniła się z demokratycznie i socyalistycznie usposobionych pokładów inteligencyi i ludu węgierskiego w sposób tak już wybitny, że nawet część liberalnych zamyśla wypisać ją na sztandarze dla podniesienia stronnictwa. Sam Tisza opiera się i w swoim *Ujsagu* o zgubności równouprawnienia wszystkich przekonywa — bez wpływu wszakże na większe kręgi opinii. W koalicyą, a nawet w czystych narodowców rewolucyonistów z lat 1848 i 9 głosowanie wpadło, jak bomba. Gdyby się niem zajęli, jako punktem programatu, niewątpliwie porozpadaliby się na odłamy. W tem tkwi właśnie ważność hasła wyszłego z kół rządowych, jako środka taktycznego.

Głosowanie powszechne było przedmiotem obrad i żywych sporów w Wiedniu. Czesi zażądali go przeciwko Niemcom, którzy ich dziś z pomocą swej ordynacyi wyborczej majoryzują; Niemiec Ebenhoch, zażądał przynajmniej przedwstępnego z urzędu badania. Gdy dla obu spraw wniesiono nagłość, Izba deput. odmówiła jej dla pierwszej 155 gł. przeciw 114, dla drugiej 136 przeciw 124. Za równouprawnieniem przemawiał najrozumniej, a przytem i najgwałtowniej Daszyński, przeciwko niemu najpobożniej Wojciech hr. Dzieduszycki. Krótka 4-dniowa sesya dała p. Gautschowi sposobność do stwierdzenia trudnej swej roli przyrządu utrzymującego w równowadze to, co się na wszystkie strony rozpada. Jeden z klerykałów niemieckich mówił rozsądnie o prawach Przedlitawii do wpływania na ostateczne upostaciowanie się Węgier. Czech radykalny Sternberg, polemizując z Wszechniemcami, cisnął w Wolffa szklanką; odroczenie posiedzenia uspokoiło wszakże namiętności. Siedziano w marmurowym pałacu do 7-go b. m., nie robiąc absolutnie nic. A koniec roku się zbliża. Paragraf 14-y znowu rządzić zacznie. Tak na Węgrzech jak w Przedlitawii wkrótce nie znać będzie rządów konstytucyjnych.

D. 10 b. m. zagaił marszałek sejm lwowski. Najważniejszym jest budżet, przenoszący już 29 mil. koron, i wódka, która od r. 1910 ma dawać krajowi 15 mil. kor. rocznie.

D. 10 b. m. Storthing norweski zatwierdził umowę w Karlstad, orzekającą rozdział między Szwecyą a Norwegią.

ŻYCIE SPOŁECZNE

Na temat znany.

Obecne, względne ożywienie naszego życia społecznego opiera się na paru twierdzeniach, przyjętych za zasadnicze, uważanych za prawdy podstawowe, których nikt nie podaje w wątpliwość. Słyszymy np. takie dowodzenia: inteligencya to śmietanka narodu, inteligencya to mózg, to treść kulturalna, to postęp, to rozwój i t. d. My, inteligencya, mamy prawo podobno nazywać się czołem narodu, tylko że to czoło przyciąga magnetycznie epitety—wytarte i miedziane. Śmietanka nieco skwaszona, nie mniej jednakże uważa się za wyborową. Tymczasem wiele powiedziećby można na temat tej wyborowości. Przedewszystkiem należy zwrócić uwagę na to, że chcąc mówić o inteligencyi, trzeba—bliżej zdawać sobie sprawę z tego, o czem się mówi. Zapewne, przebywanie w ciepłych oparach frazeologicznych ogólników niejednemu pomaga do utrzymania swego żołądka w odpowiedniej temperaturze, lecz jeszcze z tego nie wynika, żeby nie można było zapragnąć opuszczenia tej mdłej atmosfery i obejrzenia się za czemś choćby tylko innem—nowem.

Pojęcie „inteligencyi" w dzisiejszem tego słowa popularnem znaczeniu powstało, zdaje się, dopiero w XIX wieku. Około połowy tego stulecia ukazały się zarysy przekształconej burżuazyi, zwiastujące następny jej rozwój. Wtedy to na przodzie nowych zastępów pojawiła się grupa jednostek, która zyskała nazwę inteligencyi. Z czasem ówczesne ideały utraciły siłę wojującą; wyzbywszy się swojej głębi w postaci silnych haseł samodzielnych a zachowawszy dekoracyjną formę zewnętrzną, stały się one nawet panującymi. Jako dogmaty, do niczego nieobowiązujące a efektownie przykrywające wyblakłymi sztandarami zabiegi interesów klasowych, zostały one uprawnione, uświęcone i służą obecnie za niewyczerpane źródło cytat dla obrońców dzisiejszości. Czas połączył je z pojęciem inteligencyi, a ludziom nie znudziło się bajać o jej liberalizmie.

Czem jest właściwie inteligencya? Biorąc ściśle, termin ten oznacza pewną intelektualną właściwość umysłu ludzkiego. Można go określić, jako zdolność pojemną, zdolność przenikania w treść zjawisk, bystrego ich obejmowania i rozumienia, operowania aparatem myślowym. Zdolność tę w stanie potencyalnym posiadać może każdy człowiek, naturalnie w mniejszym lub większym stopniu. Wykształcenie rozwija i wysubtelnia wrodzoną inteligencyę, lecz jej nikomu nie nadaje.—Jeżeli jednak wpatrzeć się w istotę pojęcia inteligencyi, jako pewnej grupy społecznej, natykamy się na pomieszanie właściwego jego znaczenia, przeniesienie nazwy na środowisko ludzkie, mające wyłącznie posiadać tę właściwość życia myślowego. Tej klasyfikacyi brak przedewszystkiem jasności, bez której wszelkie klasyfikacye są prawie bezcelowe. Używając pojęcia inteligencyi dla wyodrębnienia pewnej grupy społecznej, trafiamy odrazu na przeszkodę, będącą konsekwentnym wynikiem mechanicznego przeniesienia objawów życia wewnętrznego jednostki na określenie zjawiska, wypływającego z życia wspólnego jednostek. Należy bowiem pamiętać, że inteligencya, jako pewna cecha umysłu, jest właściwością ściśle indywidualną, psychologiczną a przeto zbyt jednostkową, zbyt osobistą i drobiazgową, aby można było jej użyć, jako normy do określania życia społecznego. Niezbędnem jest tu wyszukanie zasady bardziej charakteryzującej specyalne warunki istnienia zbiorowego, mniej osobistej a więcej kolektywnej. Taką zasadę można zaczerpnąć tylko ze zjawisk życia ekonomicznego. Tylko one mogą dać trwałą podstawę do klasyfikacyi poszczególnych grup społecznych.

Przyjrzyjmy się pojęciu inteligencyi z tego punktu widzenia. Jeżeli zwrócimy uwagę na sposób wytwarzania, na warunki

---

szych pięć do sześciu lat naszego pożycia po prostu cierpiałam z powodu nieszczęśliwej miłości do mojego własnego męża. Doznałam zawodu. Długo nie mogłam tego ścierpieć, aby on widział we mnie tylko drugiego człowieka, z którym się razem mieszka, razem milczy i razem pracuje, lub „gospodynią domu," której się okazuje należny szacunek, dziękuje za dobry obiad i od której się wymaga przyszycia guzików. Gniewała mnie jego zimna grzeczność. I często, kiedy bywał w dobrym humorze i rozmawiał ze mną o sprawach ogólniejszej natury, mnie przychodziło do głowy, żeby mię pocałował, pogłaskał po włosach, spojrzał na mnie! Żeby popatrzał na moją suknię, na kołnierz, powiedział, że jestem ładna, że mnie kocha! Z drugiej strony czułabym się dotkniętą, gdyby wcale nie rozmawiał ze mną o sprawach ogólniejszych. Mimowoli myślałam wtedy:—ach, będzie na to dość czasu później, gdy się postarzejemy. A on był o 10 lat starszy i miał swój cel życia — ja zaś miałam tylko moją miłość i dlatego byłam taka wymagająca.

Wymyślałam tysiączne drobne dowody tej miłości, niespodzianki, zasypywałam go kwiatami i podarunkami przy każdej sposobności. *On* nie mógł nigdy zapamiętać daty moich urodzin a na gwiazdkę nie mógł nigdy „znaleźć nic odpowiedniego." Wieszał tedy na drzewku banknot. Jak mnie ten banknot bolał! Był w nim taki brak, taki okropny brak miłości! Otrzymawszy moje podarki, dziękował mi i usiłował okazać swój zachwyt nad nimi—biedak, tak się starał—a w chwilę potem znajdowałam je porzucone gdzieś w kącie. Nie pamiętał nawet, że je otrzymał. A dawałam mu wartościowe rzeczy. Jakże inaczej było ze mną! Pamiętam, że pewnego razu coś znalazł, mianowicie wełnianą „żuawkę" brzydką okropnie, lecz dobrą i ciepłą. Przyszedł i wręczył mi ją uszczęśliwiony, jak dziecko. Jakiż był wtedy miły! Pamiętał, jak bardzo marzłam w plecy przeszłego roku, więc kupił mi tę „żuawkę" w przypuszczeniu, że będzie ciepła. Ach, jak ja też lubiłam tę brzydką, niekształtną, włóczkową „żuawkę"! Nosiłam ją całymi dniami, chociaż Bóg świadkiem, że mi w niej było szkaradnie. A więc myślał o mnie, chodząc po ulicach miasta, o *mnie* myślał a nie o swoich zagadnieniach, myślał o tem, że siedzę w domu i marznę w plecy. Ach, drogi mój, gdybyś wreszcie przejrzał, jak pozwalasz marznąć mojej duszy!

Płakałam, widząc, że podarki moje nie sprawiają mu przyjemności; nie mogłam pojąć, aby cośkolwiek, co pochodzi z miłości, mogło być obojętne.

A jaka wdzięczna byłam, gdy zajrzał do mojego pokoju i przesiedział w nim czas jakiś. Zdejmowałam róże z okna, zapalałam mnóstwo świateł, ubierałam się w piękny, duży, biały kołnierz lub wpinałam kosztowną broszkę, bo to było dla mnie prawdziwe święto. I gdy wtedy słyszałam panie, cieszące się na myśl, że mężowie ich pójdą sobie do swojej pracowni, a one będą się mogły poruszać swobodniej—uważałam to z ich strony za udanie. Ale teraz zdarza się i mnie—muszę przyznać—że gdy on siedzi u mnie, nachodzą mnie podobne myśli: „kochany, byłoby mi tak dobrze, gdybyś przeniósł się do siebie—przeszkadzasz mi."—

(C. d. n.).

Z norw. przeł. *J. Klemensiewiczowa.*

położenia ekonomicznego, stosunek do kapitału, to musimy uznać, że inteligencya, jako ugrupowanie pewnych jednostek w jedną całość, jest różnoklasowa. Nie jest ona bynajmniej ścisłem połączeniem jednostek na podstawie jednakowych warunków bytu materyalnego lub form posiadania a tylko dowolnem, luźnem, od indywidualnego rozumienia zależnem zestawieniem ludzi na zasadzie jakoby cenzusu intelektualnego. Bo przecież mianem inteligencyi obejmujemy dziś nietylko ludzi pewnego wykształcenia, lecz także nieposiadających prawie żadnego przygotowania naukowego, tylko stojących na tym samym poziomie majątkowym, należących do tej samej klasy, co i owi średnio wykształceni ludzie. Mieszamy cenzus intelektualny z cenzusem ekonomicznym i, zaliczając kogoś do inteligencyi, bierzemy odruchowo pod uwagę jego zajęcie i stopień jego wydatków. Zaznaczyć można przytem charakterystyczny szczegół: zazwyczaj ze sfery inteligencyi wyłączamy tych członków klasy posiadającej, których forma posiadania jest bardziej jaskrawą, a zwracamy głównie uwagę na tak zwane fachy wyzwolone, dołączając do nich ludzi, których zajęcie wymaga pewnego przygotowania umysłowego. Na tej podstawie można zbudować przybliżone określenie: Inteligencyą nazywamy luźne połączenie jednostek, utrzymujących się z pracy umysłowej. Inteligencya nie stanowi przeto klasy, lecz należy do indywidualności poszczególnych. Napotykamy wśród niej zarówno kapitalistów, jak ludzi ściśle z ich interesami związanych tj.: dyrektorów fabryk lub banków i t. d., następnie należą do inteligencyi ludzie, uprawiający tak zwane fachy wyzwolone, jak: lekarze, adwokaci, artyści, którzy wymieniają pracę swych nerwów na pracę nerwów innych ludzi; są to w pewnym stopniu swego rodzaju drobni przedsiebiorcy; nareszcie nazwa ta obejmuje liczne szeregi sprzedających swą pracę ludzi, zbliżonych położeniem ekonomicznem do rzeszy robotniczej.

Skoro więc inteligencya, właściwie biorąc, przedstawia tak niejednolity amalgamat, niepodobna mówić o jakichś wspólnych jej interesach ekonomicznych. Łączą ją tylko pewne potrzeby kulturalne i polityczne. Nie może więc ona wyodrębniać się i oddzielnie dążyć do wybranego celu, lecz musi się rozpłynąć we środowisku społecznem, w którem się znajduje.

Należy jednak zwrócić uwagę na inną stronę tego zagadnienia. Tu już opuścimy teren popularny wykładu pojęcia inteligencyi a zwrócimy się ku bardziej racyonalnemu jego pojmowaniu. Niektóre cechy poziomu uświadomienia kulturalnego wyodrębniają z pośród ogółu pewną jego cząstkę, jako intensywnie żyjącą życiem umysłowym. Tu czynnik ekonomiczny o tyle tylko nabiera znaczenia, o ile każdy człowiek musi zapewnić sobie, w ten lub inny sposób, minimum środków zaspokojenia tak zwanych potrzeb materyalnych. Po za tem grupa ta, aczkolwiek z powodu ciągle panującej fluktuacyi swych członków nie stanowi jednolitej całości, jednak zarysowuje się na tle ogólnym, jako pewna odrębność. Jako całość stanowi ona to, do czego dąży ludzkość w przyszłości. Główny punkt ciężkości kładzie na życie wewnętrzne, pochłonięte pracą twórczą myśli, pracą, będącą wynikiem swobodnego rozwoju wewnętrznej treści.

Życie gospodarcze dla niej ma obecnie znaczenie *malum necessarium*, gdyż ona żyje życiem indywidualnem. Jako taka, inteligencya odzwierciedla i uwypukla całość powszechnego ruchu, tkwiącego w społeczeństwie. Nie ona daje popęd do pewnego uzewnętrznienia się tego ruchu, lecz ona go wypowiada i uwydatnia, jako grupa posiadająca najwięcej świadomej energii myśli, dążącej do systematyzowania i pojmowania rzeczywistości i najwięcej przygotowania umysłowego potemu. Nie ona wytwarza ruch, lecz ona go wyczuwa, wyjaśnia jego istotę. Inteligencya właściwa, to szczupłe grono ludzi, przewidujących przyszłość i uzewnętrzniających istotę życia na wszelkich połach jego rozwoju, to straż idąca na przedzie i nawołująca do szybkiego biegu. Ona niesie wysoko pochodnię światła i rzuca jego promienie na szeroki gościniec ludzkości. Lecz taka inteligencya, to pracownicy jutra, a szukać ich należy wszędzie: w warsztacie, przy biurku lub przy stalugach. Inteligencya ducha to istotnie kwiat społeczeństwa. *br.*

W sprawie stosunku pracujących z pracobiorcami.

Stosunek pracujących do pracobiorców gwałtownie domaga się u nas sumiennej rewizyi. Stosunek ten, nieujęty w karby jakiejkolwiek normy, niepoddany żadnej kontroli, rzadko staje się powodem poruszenia opinii publicznej. Wprawdzie od czasu do czasu prasa nasza wydostanie na światło dzienne jakiś jaskrawszy wypadek; od czasu do czasu jakiś sensacyjny szczegół, wydobyty z życia biur i kantorów zaatakuje sumienia kuryerków, ale wszystkie fakty, przedostające się do wiadomości ogółu, są tylko kroplami z tego bezbrzeżnego morza wyzysku i niesprawiedliwości, w którem zmuszone są przebywać sfery pracujące. Niedotrzymywanie umów lub bezpodstawne zrywanie ich, gwałcenie praw człowieka, pomiatanie godnością ludzką — wszystko to są zjawiska codzienne, obok których przechodzi się obojętnie. W kleszczach samowoli swoich dobroczyńców cierpią dziesiątki, setki, tysiące. Poczucie krzywdy żyje w sercach ludzkich, ale nie żyje w sercu społeczeństwa. Przyzwyczailiśmy się nie widzieć tego, co stało się widokiem powszednim i nie słyszeć tego, co się codziennie o nasze uszy obija.

Ale silny wicher, który zerwał się w innych dziedzinach życia, wtargnął i w sferę stosunku pomiędzy pracującym a biorącym pracę. Wtargnął, uderzył silnie o mur obojętności i przez wązkie szczeliny, które wyżłobił w murze, ukazał nieco szersze perspektywy. Poruszyły się rzesze, w zgodny akord połączyły swój okrzyk protestu, i w ciemnościach wyzysku zapłonął promyczek światła. Atmosfera, zrodzona w gruchocie warsztatów, przedostała się wyżej, zaraziła biura, kantory, magazyny, wtargnęła do przeróżnych instytucyj użyteczności i wszędzie wyraziła się groźnym pomrukiem niezadowolenia. Ból nabrzmiał. Ci, którzyby chcieli lekceważyć go dalej, dostrzegli nad swemi głowami posępną chmurę nadciągającego niebezpieczeństwa i w mgnieniu oka zoryentowali się w sytuacyi. Burza szła, pioruny wisiały w powietrzu— trzeba się było ratować. Jakoż poradzono sobie doskonale. Wystawiono niewielkim kosztem piorunochron (tymczasowy) w postaci ustępstw, i burza minęła szczęśliwie.

Rezultatem tego wszystkiego było tu i owdzie polepszenie doli pracujących. Układy pomiędzy stroną grożącą a zagrożoną nie dokonały jednak przewrotu, a względne polepszenie nie opiera się, niestety, na niewzruszonych podstawach i nie obejmuje nawet najbliższej przyszłości. Wszystko, co zrobiono w tej mierze, ma charakter przejściowy i lada podmuch „otrzeźwienia" może wywrócić wzniesiony z trudem gmach częściowo zrealizowanych żądań.

Panowie położenia nadal pozostali panami położenia, a swobody i samowoli ich nie krępuje najmniejszy cień obowiązującego prawa.

Przykład charakterystyczny. Przed niedawnym czasem odbyło się w Częstochowie zebranie, w którem wzięli udział właściciele rozmaitych przedsiebiorstw i ludzie, którzy swoją pracą utrzymują te przedsiebiorstwa oraz ich właścicieli. Na zebraniu tem powzięto uchwałę, która, wprowadzona w życie, istotnie mogłaby do pewnego stopnia polepszyć los pracującej rzeszy. Ale stosowanie się do tej uchwały, jak to wyjaśniło się później, uzależniono w zupełności od dobrej woli przedsiebiorców.

Tymczasem „dobra wola" przedsiebiorców nieraz już miała sposobność wyrazić się, a jej rezultaty niejednokrotnie krzyczały o pomstę do nieba. Jakież widoki, w czem choćby cień gwarancyi, że „dobra wola" jednakowo przez obie strony zacznie być rozumiana?

Nie, panowie, dobra wola—to trochę za mało! Wiemy wszyscy aż nadto dobrze, że dobra wola w państwie kapitału — to sztuczka konkurencyjna do zamydlania oczu naiwnym, to figiel giełdziarski, który na seryo może być traktowany tylko przez tych, którzy nigdy z giełdą nie mieli do czynienia. Dobra wola może być i nadal taką samą tarczą samowoli, jaką dotąd była zła wola.

Zastrzegam się, że nie mam najmniejszego zamiaru rzucać kamieniem potępienia na wszystkich ze strony uprzewilejowanej. W każdem środowisku mogą być jednostki mniej lub więcej zasługujące na uznanie, ale to nie zmienia sytuacyi. Nie jednostki się zwalcza, lecz system, który gwałtownie domaga się gruntownej reformy. Stosunki pomiędzy pracującymi a pracobiorcami nie mogą być uregulowane za pomocą pojęć abstrakcyjnych, w rodzaju dobrych chęci lub dobrej woli, prowadzącej najczęściej do przyrzeczeń gołosłownych lub niewielkich ustępstw, które w każdej chwili mogą utracić moc obowiązującą.

Pewna prawidłowość w stosunkach kapitału do pracy zapanować może dopiero wtedy, kiedy nad przedstawicielami pierwszego i drugiej rozciągnięta zostanie kontrola społeczna, kiedy opinia będzie mogła wtajemniczać się szczegółowo w zasłoniętą dotąd parawanami zysku atmosferę, kiedy będzie mogła oświetlać, badać i wydawać swój sąd.

Aby taką kontrolę umożliwić, trzeba przedewszystkiem stworzyć teren, który skoncentruje na sobie uwagę ogółu. A takim terenem mogą być tylko organizacye, w których skład wejdą obie strony. Organizacye te powinny mieć moc prawodawczą, powinny stać się areną, na której kapitał i praca śmiało stawałyby oko w oko, jako dwa współrzędne, jednakowe prawo do istnienia mające czynniki; powinny stać się trybuną, z której głos rozchodziłby się szeroko.

Dopóki organizacye takie nie istnieją, dopóki kontrola społeczna nad stosunkiem stron obu jest uniemożliwiona, dopóki pozostajemy w dziedzinie dobrej, lecz niczem niekrępowanej woli, dopóty o prawidłowości nie może być mowy.

Rzecz prosta, że inicyatywa takich organizacyj powinna wyjść ze sfer pracujących. Sprawą tą mogłyby się zająć istniejące w Warszawie towarzystwa pracowników handlowych, mogłyby ją poddać szerokiej dyskusyi a następnie przejść do zbadania gruntu i obmyślenia środków, które doprowadziłyby do pomyślnego rezultatu. Wreszcie sprawa ta powinna być na porządku wszędzie, gdzie praca ma możność przemówienia do kapitału.

Sprawa ta powinna żyć i to żyć głośno. Kto chce, żeby go słyszano, ten musi krzyczeć.

Artur Śliwiński.



Ze spraw Śląska Austryackiego.

Wiec niemiecki w Cieszynie. — Sprawa seminaryum polskiego. — „Koło Polskie" sojusznikiem hakaty. — Uniwersytet ludowy w Cieszynie.—Z polskiego gimnazyum.

W odpowiedzi na olbrzymi „polski wiec protestacyjny, urządzony dn. 3-go września w Cieszynie, narodowcy niemieccy zwołali do tegoż miasta taki sam wiec w dwa tygodnie później, zorganizowany przez cieszyńską radę miejską, a właściwie przez jej prezydyum. Głównym referentem był burmistrz cieszyński—Demel, znany poseł-polakożerca, przewodniczył zaś wiecowi wiceburmistrz Bukowski — narodowiec niemiecki pomimo swego polskiego nazwiska. Mowa Demla odznaczała się wybitnie prowokacyjnym charakterem i podburzała ludność niemiecką przeciwko Polakom zupełnie otwarcie. Wykręcając kota ogonem, Demel w referacie swym przedstawiał obecne położenie na Śląsku w ten sposób, że słuchacze mieli wrażenie, jakoby Niemcom w tej prowincyi działa się krzywda, i jakoby żywioł słowiański zdążał szybkimi krokami do ostatecznego ich wytępienia. „Słowiański radykalizm—mówił Demel—zdziałał cuda w Austryi i, począwszy od prezydenta ministrów a skończywszy na najmłodszym praktykancie konceptowym, drżą wszyscy urzędnicy polityczni przed żądaniami i głosami radykałów słowiańskich. Jedynie tylko Niemcy nie chwycili się dotychczas tych gwałtownych środków, za pomocą których wzrosła w Austryi potęga Czechów i Polaków. Ale musi się to obecnie zmienić, gdyż „przelała się już miara" — to znaczy, że Czesi i Polacy żądają obecnie (z bardzo małym zresztą skutkiem), aby i ich prawa, zagwarantowane na papierze przez konstytucyę austryacką, były bodaj w pewnej mierze uwzględnione w szkołach, sądach i urzędach. Ten straszliwy zamach na „stan posiadania" burżuazyi niemieckiej wymaga nadzwyczajnych środków obrony. Musimy się zbroić, aby i nas także się bano— mówił Demel — musimy dowieść, że jeśli rząd nie okazuje zrozumienia dla naszych interesów i interesów Śląska, to my sami potrafimy ich bronić z całą bezwzględnością. Nie oddamy ojczyzny, a jeśli do tego przyjdzie, to potrafimy także walczyć o naszą narodowość i mowę.

Ktoby nie znał stosunków na Śląsku austryackim, a trafił przypadkowo na niemiecki wiec cieszyński, ten z pewnością musiałby przyjść do przekonania, że na Śląsku panują Czesi i Polacy, że język niemiecki jest tam gnębiony i prześladowany, że Niemcy nie posiadają odpowiedniej ilości szkół, a mowa ich jest zaledwie tolerowana w niższych instancyach sądowych i administracyjnych. Ten sam ton głębokiego oburzenia na wrzekome upośledzenie i krzywdzenie ludności niemieckiej na Śląsku brzmiał i w innych mowach, wygłoszonych na wiecu. Przemawiający po Demlu szowiniści, poszli jeszcze dalej od niego. Gdy bowiem Demel żądał w przedłożonej przez siebie rezolucyi przeniesienie paralelek polskich niemieckiego seminaryum nauczycielskiego w Cieszynie do Polskiej Ostrawy, większość mówców domagała się zupełnego ich zniesienia. Rezolucya też została uchwalona w duchu większości. Podnieceni mowami Demla, Bukowskiego, Turka, Bubenika i innych patryotów wszechniemieckich, uczestnicy wiecu przed rozejściem się urządzili antipolską demonstracyę przed „Domem Polskim" i powybijali szyby w oknach mieszkania posła Michejdy. W ten sposób zamanifestowano ucisk nieszczęśliwej niemczyzny.

Warto się zastanowić nad rzeczywistym charakterem tych paralelek polskich przy niemieckiem seminaryum nauczycielskiem w Cieszynie, o które wywiązała się tak namiętna walka. Jest to bowiem pod wielu względami jedyny w swoim rodzaju zakład naukowy, utworzony jak gdyby wprost na kpiny z interesów żywiołu polskiego na Śląsku austryackim.

W roku szkolnym 1904 — 1905-ym rząd otworzył przy seminaryum niemieckiem w Cieszynie pierwszą klasę równoległą z językiem wykładowym polskim. Nie trzeba jednak sądzić, że ten nędzny ochłap został dany Polakom przynajmniej za pieniądze skarbowe. Bynajmniej, pierwszą klasę równoległą założono z funduszów ofiarowanych na ten cel przez „Macierz Szkolną", a więc z funduszów prywatnych — gromadzonych w całej Polsce. Tworząc ten zalążek polskiego seminaryum nauczycielskiego, rząd zastrzegł sobie, że pierwsza klasa będzie otwierana tylko co drugi rok. W ten sposób więc w ubiegłym roku szkolnym była tylko jedna pierwsza klasa, w roku bieżącym tylko jedna druga klasa, w następnym roku Polacy będą mieli pierwszą i trzecią klasę i t. d. Niesłychany ten system został wynaleziony jedynie w tym celu, ażeby uniemożliwić rozwój normalny seminaryum polskiemu a niemieckiemu zapewnić zwycięską konkurencyę z polskim. Zrozumiałą bowiem jest rzeczą, że młodzież która obecnie z braku polskiej pierwszej klasy wstąpi do niemieckiej, nie będzie już mogła uczyć się po polsku, gdyż w miarę jej przechodzenia z klasy do klasy zawsze będzie brakowało (z polskim językiem wykładowym) właśnie tej, do którejby można wstąpić. Tak więc polscy kandydaci na posady nauczycieli ludowych będą wychodzić z dobrem przygotowaniem tylko co drugi rok.

Pierwotnie, kiedy zostało uczynione owo tragi-humorystyczne zastrzeżenie rządu w sprawie otwierania raz na dwa lata pierwszej klasy polskiej, nie brano tego na seryo. Sądzono bowiem, że wielki napływ uczniów Polaków do tej pierwszej klasy unaoczni najzaciętszym nawet szowinistom niemieckim nieodbitą konieczność istnienia seminaryum polskiego. Z drugiej znów strony miano uzasadnioną, jak się zdawało, nadzieję, że „Kołu Polskiemu" uda się w ciągu pierwszego roku działania paralelek polskich wyjednać utworzenie całkowitego seminaryum. Tymczasem władze szkolne postanowiły nic sobie nie robić z liczebności polskiej klasy równoległej, a „Koło Polskie" swoim zwyczajem dbało o interesy Śląska tyle, co o zaćmienie słońca. W rezultacie więc w tym roku do 50 młodzieńców, oczekujących na otwarcie pierwszej klasy, musi albo pójść do seminaryum niemieckiego, albo skwitować z nauki. Należy tu jeszcze dodać, że gdyby „Kołu Polskiemu" nawet udało się zdobyć założenie całkowitego polskiego seminaryum nauczycielskiego w najbliższym roku szkolnym, to zdobycz ta nie miałaby na razie absolutnie żadnej wartości naukowej. Albowiem klasy pierwsza i trzecia i tak w roku przyszłym będą funkcyonowały, a klasa druga musi świecić pustką wobec tego, że w roku bieżącym niema klasy pierwszej, więc nikt do niej wstąpić by nie mógł.

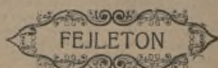
Tak się opiekuje interesami śląskimi „Koło Polskie". Ale nietylko brak opieki można mu zarzucić. Występuje ono wrogo przeciwko podstawowym interesom ludności polskiej i działa wręcz na korzyść hakaty niemieckiej. Właśnie wczoraj odbyło się w parlamencie wiedeńskim głosowanie nad całym szeregiem nagłych wniosków w sprawie reformy wyborczej — i któż występował przeciwko rozszerzeniu prawa wyborczego najzawzięciej? Naturalnie „Koło Polskie" w osobie swego prezesa hr. Wojciecha Dzieduszyckiego. Tymczasem cała sztuczna przewaga Niemców na Śląsku oparła się właśnie na niesprawiedliwej ordynacyi wyborczej. Zaprowadzenie powszechnego głosowania zadałoby cios śmiertelny panowaniu niemieckiemu na Śląsku i przekształciłoby Polaków cieszyńskich z paryasów w gospodarzy kraju. „Koło Polskie" więc, sprzeciwiając się reformie wyborczej, utrwala niemczyznę na Śląsku bardzo energicznie. Klasowy interes szlagoneryi z „Koła" stoi w najzupełniejszej sprzeczności z interesami narodowymi Polaków śląskich—i interes klasowy zwycięża, co naturalnie, nie przeszkadza tej samej szlagoneryi drapować się w togi obywateli-patryotów, narodowców i t. d.

Świeżo Śląskowi Cieszyńskiemu przybyły dwie nowe szkoły prywatne w miejscowościach, gdzie dziatwa polska była wystawiona na niebezpieczeństwo wynarodowienia. Pierwszą z nich założyła „Macierz Szkolna" w Dziećmorowicach, gdzie istnieje tylko czeska szkoła, utrzymywana przez gminę. Do nowootworzonej szkoły odrazu zapisało się 96 dzieci. Drugą otrzymała Niemiecka Lutynia, gdzie wpisało się (do dwóch klas) 140 dzieci. Obecnie „Macierz Szkolna" cieszyńska utrzymuje już cztery takie szkoły polskie w gminach o ludności mieszanej.

W ostatnich czasach daje się na Śląsku Cieszyńskim zauważyć większe ożywienie w dziedzinie pracy kulturalnej. Powstało już sporo kół „Towarzystwa szkoły ludowej", a wkrótce zorganizuje się w Cieszynie oddział „Uniwersytetu ludowego imienia Adama Mickiewicza", który tak zasłużonem uznaniem cieszy się w Galicyi. Statuty zostały już podane do zatwierdzenia, a zarząd główny tej instytucyi nadesłał pareset tomów, które się staną zalążkiem biblioteki publicznej dla szerszych kół publiczności.

Wpis tegoroczny do gimnazyum polskiego w Cieszynie jest wielkim tryumfem dla Polaków, ponieważ wobec wszystkich krzyków szowinistów niemieckich, jakoby gimnazyum polskie było zupełnie zbyteczne, do tego ostatniego wpisało się więcej uczniów, aniżeli do niemieckiego. W pierwszej klasie gimnazyum niemieckiego jest 62 uczniów, w pierwszej klasie polskiego—78 tak, że okazuje się potrzeba podzielenia jej na dwa oddziały.

Daleki.



LIBERUM VETO.

Szkoła polska.

Każde społeczeństwo jest zbiorem ludzi w ogromnej przewadze praktycznych. Właściwie ono samo jest wytworem praktyczności, bo ktoby tam chciał znosić wszystkie jego gwałty, ucisk i bezeceństwa, gdyby ono wzamian za to nie dawało realnych korzyści! Zresztą życie tak dalece przerabia człowieka na juczne i robocze bydlę, że on ze swym brzemieniem nie może skoczyć pod gwiazdy i musi się trzymać ziemi. Są wszakże między narodami a nawet szczepami wielkie pod tym

względem różnice. Cała rasa germańska odznacza się silnie rozwiniętym zmysłem praktycznym, mniej — romańska, jeszcze mniej—słowiańska, a w tej ostatniej—najmniej Polacy. Niewątpliwie my jesteśmy wybitnym typem ideologów, nieuleczalnych marzycieli, istot dziwnych, które nie pamiętają wcale rozczarowań i zawodów, które z doświadczeń wyciskają tylko odurzające opium dla fantazyi. Dość spojrzeć np. w nasze dzieje końca XVIII i początku XIX w., kiedy z dziecinną ufnością wierzyliśmy, już nie w dobrą wolę, ale w obowiązek Europy ratowania naszego państwa, jako „Chrystusa narodów". Czy gdzie na świecie były takie wyprawy zbrojne, jak nasze, podejmowane przeciwko Rosyi po r. 1830, których przywódcy donosili z tryumfem, że już mają pod bronią „25 Mazurów?" „Kiedym się obejrzał—mówi Zaratustra Nietzschego—spostrzegłem, że czas był jedynym moim współczesnikiem". Tak może również rzec o sobie naród nasz w odniesieniu do przeszłości, a nawet po części i do teraźniejszości. Jako społeczeństwo demokratyczne szliśmy w ostatnim szeregu ludów, ale jako szlacheckie — nie mieliśmy sobie równego w rozwinięciu swobód myśli i czynu. Na tej drodze uprzedziliśmy wszystkie o setki lat. przed czterema wiekami ułożyliśmy sobie konstytucyę, jakiej dotąd nie posiada $^9/_{10}$ Europy i rzeczywiście nieraz mogliśmy o sobie powiedzieć, że jedynym naszym spółcześnikiem był tylko czas. I jeżeli nie wynaturzymy się i utrzymamy dalej w uczuciowo-idealistycznym nastroju, to o ile byliśmy całkiem niezdatni do walki o byt w przeszłości a nawet okazujemy tę nieudolność w teraźniejszości, o tyle przyszłość uzna nas za swoich. Prawdopodobnie bowiem zanikną w niej powoli kły i pazury drapieżców społecznych, zginą rekiny polityczne w rodzaju pruskim, słowem, ideologia nie będzie tęczą wygiętą jedynie na niebie, lecz dotknie ziemi.

Na grunt ideologiczny przenieśliśmy również sprawę szkolną. Ludzie praktyczni nie mogą poprostu zrozumieć tego — jak nazywają — „harakiri" lub „głodówki". „Gdzie tu jest odrobina sensu? — pytają. Dlatego, że ktoś mnie skrzywdził, to ja mam *sobie* brzuch rozpruwać lub odmawiać jedzenia? Ależ to waryactwo!" Jeżeli pierwsza z form tego waryactwa utrzymuje się od wieków w bardzo kulturalnym narodzie a druga jest stale stosowana w walce ideowej, to widocznie tak zwany zdrowy rozum nie może być sprawiedliwym sędzią wielu objawów, które mają bardzo mocne oparcie w naturze ludzkiej, chociaż przeczą jego kodeksowi. Do tych objawów należy niewątpliwie przemiana szkolnictwa rządowego na prywatne. Jak wiadomo, komitet ministrów pozwolił ostatecznie na wprowadzenie wykładów polskich do szkół prywatnych z wyjątkiem języka rosyjskiego, historyi i geografii Rosyi. Szkoły te nie mają wobec państwa żadnych praw: nie skracają służby wojskowej, nie otwierają wyższych zakładów naukowych. nie torują drogi do posad rządowych, wymagających patentu i t. d. Dla karyery przeto są bez wartości. Tymczasem karyera jest najpowszechniejszym instynktem cywilizowanego człowieka. On z przeznaczeniem do niej się rodzi, nią żyje i ze wspomnieniami o niej umiera. Kogo ona zawiodła, ten jest nędzarzem, opuszczonym przez los, zdeptanym przez ludzi, wzgardzonym przez najbliższych. Gościniec życia jest wyłożony taką faszyną ludzką, po której szczęśliwcy idą i jadą do swych powodzeń i tryumfów. Kto więc wyrzeknie się pomyślności i legnie dobrowolnie w wybojach tego gościńca, ażeby inni wygodnie po nim przeszli? Otóż właśnie my.

Ktoś rzekł do mnie:

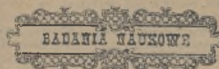
— Z najwyższem wzruszeniem czytam ogłoszenia o zrzeczeniu się praw przez właścicieli szkół prywatnych dla możności wykładania w nich po polsku. Jak ten naród pragnie odzyskać swoją mowę dla dzieci i jak gotów dla niej poświęcać nawet ich dolę!

— A jaki to naród niepraktyczny! — powiedziałby Niemiec, zawsze gotów do wynarodowienia się i wrażliwy na korzyści realne. Tę jednak niepraktyczność, tę ideologię bardzo łatwo zrozumieć — nam. My bowiem znamy i czujemy ciągle straszne bóle, które sprawia pożerająca nas tęsknota. Rozproszeni po całym świecie, tęsknimy do ojczyzny, do jej ubogich i smutnych krajobrazów, do jej bezładu, ciemnoty, barbarzyństwa, przesądów i niedoli. Siedząc na miejscu, tęsknimy do takich form życia społecznego, w jakich się odlała nasza historya, do tych organów, które wytworzyły naszą kulturę i zapomocą których pragnęlibyśmy przyjmować udział w rozwoju ludzkości. Więc tęsknimy do sił reprezentacyjnych, stowarzyszeń, uporządkowanych stosunków, bezpieczeństwa i swobody jednostek, tolerancyi religijnej—a przedewszystkiem tęsknimy do naszego języka w szkole. Przez czterdzieści lat jej mury nie słyszały prawie jego dźwięków. Kształcenie dzieci polskich w swojskiej mowie jest koniecznością niezależną ani od ich woli, ani od woli ich rodziców i całego społeczeństwa. Przypuszczam, że niejeden słaby męczennik, udręczony ciężką i nieprzerwaną walką o swój język, woła w rozpaczy: „Bogowie, duchy wszechmocne, kto tam jest w przestrzeni z potężną władzą, niech mnie i moim dzieciom albo zwróci prawa naszej mowy ojczystej, albo niech mi wydrze miłość dla niej, bo już dłużej z tą tęsknotą i niemocą żyć nie zdołam". Niestety, nie ma w przestrzeni takiego ducha potężnego, któryby tę prośbę wysłuchał. Zarówno w duszach naszych zdrowych i tęgich, czułych i czystych, jak w chorych i wątłych, obojętnych i brudnych, biję mocno lub słabo puls tego przywiązania do swego języka, które drga nawet w istotach zupełnie przerodzonych i pozornie odpolszczonych. Wysiadasz w porcie meksykańskim lub australskim i uderzywszy się o baryerę, szepczesz do siebie: „psia kość!" — „Panie, panie — krzyczy za tobą majtek—oni są Polak, niech oni jeszcze rzekną: psia kość. To tak miło. Ja dawno nie słyszał!" Na nić tej miłości nawleczone są jak paciorki wszystkie serca polskie, a ten ich różaniec zawieszony nad całym światem.

Wnosząc z rozmachu, z jakim w prasie zalecono wyzyskać uchwałę komitetu ministrów, należałoby mniemać, że wkrótce całe wykształcenie średnie u nas przesunie się do szkół prywatnych. Odezwał się nawet w pismach rosyjskich projekt zamknięcia gimnazyów rządowych i oddania ich pracy zakładom, wytworzonym przez samo społeczeństwo polskie. W taki radykalizm nie wierzę, ale wierzę, że energiczna i dobrze zorganizowana działalność nasza w kierunku uprywatnienia, a tem samem spolszczenia szkoły rozstrzygnęłaby sprawę samą siłą faktu spełnionego. Czy my to brzemię podejmiemy i czy je udźwigniemy? To inna kwestya. Zwykle wzruszający widok naszych uczuć patryotycznych nie rozciąga się na czyny długo powtarzane. My umiemy dopilnować, ażeby wieczny ogień nie wygasł na ołtarzu świątyni narodowej, ale rozdmuchać go w wielki żar i w wielki blask nie umiemy. Trzeba jednak ufać czterdziestoletniemu wytęsknieniu się do szkoły polskiej, że ona da nam nietylko chwilowy rozpęd, ale i trwałą energię.

Poseł Prawdy.





G. Maier.

Prądy i teorye społeczne.

Przekład z drugiego wydania niemieckiego d-ra Melanii Bornsteinowej. Warszawa, 1905 r.; str. 214 i II.

Fakt, że „dla każdego człowieka, zwłaszcza w naszych czasach", niezbędne jest „głębokie zrozumienie powikłanych stosunków gospodarczych, stanowiących wzajemne spoidło między ludźmi" (str. 6), oraz umiejętność oryentowania się we współczesnych poglądach i teoryach społeczno-ekonomicznych, skłonił autora niniejszej książeczki do podjęcia i wykonania w sposób dla wszystkich przystępny i formie popularnej tej samej pracy, której w sposób bardziej specyalny i uczony dokonali Pöhlmann [1]) i Kautsky [2]). Książeczka Maiera ma na celu „przedstawić stosunki gospodarcze czasów ubiegłych", odtworzyć na ich tle „ówczesne idee i tą drogą ułatwić zrozumienie prądów współczesnych" jak najszerszemu ogółowi (str. 5). Ma ona przedewszystkiem przekonać czytelnika, że te „prądy współczesne" nie są czemś wiszącem w powietrzu, pozbawionem gruntu, oderwanem od miejsca i czasu, lecz przeciwnie—znajdują się w ścisłym związku z warunkami życia gospodarczego, stanowią wynik długotrwałej i stopniowej ewolucyi społeczno-ekonomicznej; żeby je zrozumieć, należy zdać sobie sprawę z ich genezy; żeby je ocenić, trzeba pojąć ich naturalność i konieczność. Niedosyć jest w tym celu stworzyć sobie obraz rozwoju gospodarczego i pojęciowego społeczeństw dzisiejszych; warto przekonać się, że i w innych społeczeństwach ludzkich analogiczne z dzisiejszymi warunki ekonomiczne powoływały do życia analogiczne teorye społeczno - gospodarcze. Książka ma więc jeszcze unaocznić czytelnikowi fakt, że takie teorye, jak socyalizm, anarchizm i t. d. nie są wynalazkiem najnowszym, że stanowią one raczej konieczną konsekwencyę ideową pewnego szczebla ewolucyi społecznej.

Podejmując tak niełatwe zadanie, autor słusznie mniemał, że acz praca jego ma posiadać charakter wybitnie popularny, nie wolno mu nigdzie porzucać stanowiska prawdziwie naukowego. Cały wykład musi być utrzymany w tonie ściśle naukowym, skoro ma ułatwić czytelnikowi „głębokie zrozumienie" współczesnych prądów społecznych. W większości wypadków udało mu się osiągnąć cel powyższy. Wprawdzie od czasu do czasu trafiają się w pracy jego miejsca i ustępy, mniej lub więcej sprzeczne z zasadą ścisłej naukowości; świadczą one o tem, jak trudno było autorowi pogodzić wykład popularny z naukowym. Zapewne gwoli popularności pozwala sobie na wygłaszanie patetycznych frazesów o zakroju nieco poetyckim, frazesów bezbarwnych w treści a z nauką nic wspólnego niemających lub, co gorsza, zgoła z nią sprzecznych. Takiej metafizyki patetycznej pełen jest cały ustęp, traktujący o dwu czynnikach rozwoju społecznego: „materyal-

[1]) Geschichte des antiken Socialismus und Kommunismus.

[2]) Die Vorläufer des Socialismus.

nym" i „duchowym", oraz o wpływie jednostki, rozumie się wybitnej, na rozwój społeczeństw, o znaczeniu wielkich reformatorów religijnych (Luter, Kalwin, Zwingli), mocarzy politycznych (Napoleon, Bismark) i myślicieli (ekonomistów od Smitha do Marxa) społecznych (str. 11—13). Jedynie chyba na czysto zewnętrzny efekt obliczony został szablonowy zresztą i oklepany frazes, że „Rzymianie nie mieli zdolności, ani upodobania do wszelkich czynności przemysłowych, wybiegających po za zakres zajęć codziennych", skąd też „istotna praca (?) cieszyła się u nich jeszcze mniejszem (!) poważaniem, niż u Greków". (str. 54). Nie rozumiemy, po co autor poczuwa się do obowiązku brania w obronę „energii niemieckiej" (str. 85), bojąc się, by porównanie Niemiec z Anglią pod względem szybkości rozwoju gospodarczego nie wypadło na niekorzyść pierwszych. Czyżby autor sądził, że te i tym podobne frazesy, oklepanki, szablonowe twierdzenia, w gruncie rzeczy puste i mętne próbki krasnomówcze, stanowią warunek niezbędny popularności i przystępności wykładu? Takie ustępy, jak powyżej przytoczone lub jak cały rozdział X (str. 208—214), bynajmniej nie uprzystępniają treści, przeciwnie—męcą ją i nie ułatwiają, lecz utrudniają zrozumienie istoty rzeczy. Nie na tem polega przystępny wykład, by przeplatać tok jego patetycznymi frazesami, lecz na tem, żeby jasno i prosto wyrażać myśl naukową, żeby umieć rzecz skomplikowaną rozplątać a rozplątane jej części ująć w proste i dla wszystkich zrozumiałe pojęcia. Naszem zdaniem lepiej nie tykać wcale skomplikowanych kwestyj, np. upadku demokracyi w Atenach lub upadku kultury starożytnej, niż rozstrząsać je tak nienaukowo, jak to czyni autor (str. 38 i str. 28): „dążenia odśrodkowe, żądza panowania nad całym światem, połączona z wewnętrznem cofaniem się wstecz, wskutek zbytku i zniewieściałości, doprowadziły" narody starożytne „do upadku" (str. 28). Pytamy, czy taki frazes, w którym niemasz ani jednego pojęcia konkretnego a są tylko komunały, może uprzystępnić zrozumienie czegokolwiek, czy nie stanie się wprost odwrotnie.

Jeżeli usunąć z książki całą tę niefortunną poezyę, pozostanie wierny obraz rozwoju prądów społeczno-gospodarczych w społeczeństwach świata starożytnego i Europy nowożytnej. Powtarzamy, poezya ta stanowi tylko szkodliwy balast, ale nie jest na szczęście wyłączną treścią pracy. Na ogół autor traktuje swój przedmiot—genezę i rozwój prądów społecznych — w istocie naukowo. Sięga zawsze w głąb życia ekonomicznego, ilekroć analizuje tę lub ową teoryę i tam szuka podstaw do jej charakterystyki. Jakkolwiek nawraca tu i owdzie do doktryny „powszechno-dziejowej," np. we wstępie, mówiąc o rozwoju nauki ekonomicznej, i usiłuje odnaleźć w myśl tej doktryny jakieś niższości kultury starożytnej, np. brak „idei ludzkości" u starożytnych filozofów (a stoicy i epikurejczycy?), spoczywanie „wytwórczości tuż obok spożycia," panowanie niemal wyłączne rolnictwa i hodowli bydła w gospodarstwie oraz słaby rozwój gospodarstwa pieniężnego (a Fenicya i Grecya?) i t. d. (str. 9—10, 15, 26), jakkolwiek wygłasza niekiedy zdania, trącące metafizykę historyozoficzną, o wieczności idej i ich zmartwychwstawaniu (np. str. 52—53),—wskazuje jednak warunki, wśród których powstawały te lub owe teorye, zaznacza analogie a przedewszystkiem gruntownie bada podstawowe zasady przeróżnych dawniejszych i nowszych prądów ekonomiczno-społecznych, umie formułować je jasno i zrozumiale.

Jak widać z przytaczanej przy końcu każdego rozdziału literatury historycznej, autor obeznany jest z materyałem faktycznym, z którego ma wyciągać wnioski i uogólnienia. Sporą dozę owego materyału zawarł w swej pracy. Niezawsze czyni to umiejętnie. Obok niewątpliwie cennych danych faktycznych, rozrzuconych tu i owdzie lub ugrupowanych w pełne a ścisłe naukowe obrazy (gospodarstwo Egiptu, Babilonii, socyalizm w Chinach w w. XI, ruch agrarny w Rzymie i t. d.), spotykamy od czasu do czasu fakty, podawane przez autora za prawdę historyczną, a przez naukę dawno uznane za niebyłe, zmyślone. Dziwi nas, że autor, cytujący Edwarda Meyera, może jednocześnie mówić poważnie o prawach Licyniusza za r. 367 lub o secesyi plebejuszów na górę Świętą w r. 495 (str. 56 i 60).

Nie mniej dziwią nas i błędy faktyczne, jako to: Kajusz Grakch zamierzał „ograniczyć sądownictwo i zarząd finansów na korzyść *ludu* (str. 63); na szczęście już na następnej stronicy poprawia się autor, mówiąc o powierzeniu sądów *kapitalistom* (str. 64); taryfa Dioklecyana (str. 67—68) nie była bynajmniej, jak mniema Maier, próbą socyalistyczną [1]); wreszcie autor zapomina najwidoczniej o rewolucyi angielskiej XVII w., skoro może mówić o „pięćsetletnim spokojnym rozwoju Anglii". Błędy powyższe byłyby do darowania, gdyby nie pociągały za sobą fałszywych wniosków ogólnych—a pociągać mogą, przytoczone bowiem fakty należą do ważnych, zasadniczych danych historycznych. Tego rodzaju rzeczy nie powinnyby się znajdować w dziełku popularnym, przeznaczonym dla niespecyalistów, którzy oczywiście nie mają możności sprawdzać przytaczanych przez autora danych.

Niefortunna poezya, niezupełne wyzwolenie się z pęt dokryny powszechno-dziejowej, wreszcie nienaukowe obchodzenie się z materyałem historycznym — oto główne wady książeczki Maiera, wynikające, o ile nam się zdaje, z niedość jasnego pojęcia o tem, czem ma być dziełko popularno-naukowe.

Tam, gdzie autor nie ma do czynienia z historyą—zresztą i niektóre historyczne fakty, cytowane w książce, są niewątpliwie ciekawe — gdzie poprzestaje na referowaniu i komentowaniu teoryi gospodarczo-społecznych, czyni to umiejętnie. Te ustępy, poczynając od „Utopii" Morusa" (str. 69) i kończąc na Proudhon'ie, mają dla czytelnika największe może znaczenie: z nich przekona się on, że współczesne prądy i teorye społeczne są naturalnym produktem poprzedniego rozwoju. Rozdziały początkowe unaocznią mu fakt, że te prądy i teorye nie są najnowszym wynalazkiem, że „wszystko to już było". A jedno i drugie jest bardzo ważne i niezaprzeczenie przyczynia się do zrozumienia przedmiotu. Warto przeczytać książeczkę Maiera, zwłaszcza że przekład pani Bornsteinowej nic nie pozostawia do życzenia.

Michał Kreczmar.

[1]) Ob. Bücher „Die Diocletianische Taxordnung vom Jahre 301" w Zeitschrift für Staatswissenschaften r. 1894.



Camille Lemonnier.

Jeszcze jeden syn pokrytej mgłami Belgii. I to jeden ze starszych, a może nawet najstarszy ze wszystkich. Imię jego jest ściśle związane z powstaniem ożywionego ruchu literackiego w tym odrębnym a silnym swoją odrębnością kraju. Należał on do inicyatorów pisma „La jeune Belgique", pisma, które tak wielką odegrało rolę w przebudzeniu się uśpionych sił twórczych dawnej Flamandyi i Wallonii. Pisał wiele, pochłonięty umiłowaniem piękna tych równin i dolin. Po za twórczością artystyczną zajmuje się sztuką; wysoką kulturę i szczere wczucie się w artyzm plastyki i jej tajemnice wykazał w studyum o Constantin Meunier.

Lemonnier należy do wielkiej rodziny poetów belgijsko-francuskich. Łączy go z nimi wspólność odrębnych cech artyzmu i jaźni. Ludzie ci więcej i wyraziściej od innych mówią o swoim głodzie życia. A życie dla nich to coś nieskończenie silnego, to mowa twardej gleby oświetlonej gorącem światłem promieni słońca. Poczucie jednolitości, powściągliwa potęga ducha, który jest w stanie wytrzymać huk piorunu i szum spienionego morza — to ich odrębność. Są to ludzie posępni i twardzi; nie znają oni znużenia, nie znają lęku przed silniejszym okrzykiem życia: tęsknią doń i szukają wizyi potęgi jego. Kochają życie bezpośrednie.

A ono skryło się pod ziemię, w głębi ludzkiej duszy i zostało zapisane żużlami przepalonej przeszłości. Pokryła wszystko monotonna szarzyzna i wszystko jest jednakowem i podobnem do siebie. W skupieniu, w znużeniu podnoszą ręce muskularne ciężkie młoty i kują stal. W milczeniu rolnik orze twardą ziemię, w milczeniu dąży przed siebie tłum nowych wędrowników życia. W milczeniu tem zawarta jest wielka tajemnica, przeto milczenie jest tylko pozornem. Siła życia buntuje się i prze ku wybuchowi. Ziemię objął wielki wstręt do smutku i zapragnęła śmiechu, zapragnęła — radowania się.

Kult życia wzrasta, i wzrasta liczba ofiarników jego—artystów. Na ołtarzu jego składają swą objatę Belgowie i tem uwielbieniem życia stają się jednymi z pierwszych w pochodzie ludzkości ku pięknu. Kultem tym złączony jest Lemonnier z ziemią swą rodzinną. Różni go od innych osobowość jego wewnętrzna. Powściągliwe skupienie, hamowanie brutalnego wybuchu przez łagodny smętny uśmiech i serdeczną tkliwość—to jego odrębność. Po za tem z innemi Belgami łączy go jedność jakości jaźni. Życie dla nich to mowa ziemi. Nie jest to wionięcie zamorskiego wiatru, nie jest to błyskawica, unosząca się gdzieś wysoko, w niebiosach, lecz echo pulsu ziemi, uderzenie krwi w żyłach i tajemne znaczenie odruchu istoty ludzkiej. Ta ostatnia w ich oczach to nie synteza, nie wymarzona jedność wszechduszy a pieśń, która płynie z zapatrzonych przed siebie oczu przeciętnego przechodnia, to nie świadomość, to nie wiedza a odruch. Twarde jest to życie. Zgina ono ku matce ziemi, pokrywa czoło bruzdami, krwawi ręce i nogi; lecz po za tem jedno westchnienie rzuca na wszystko czarodziejską przemianę i nadaje trudowi radość i wesele. Pierś oddycha głęboko, serce wczuwa się w szepty równin i kanałów, oczy rozkochują się w zieleni i błękicie. Człowiek słyszy echo nieznanego mu hymnu i raduje się tem, że jest, że czuje w sobie siłę, że czegoś pragnie i za czemś tęskni. Życie twarde jest jednocześnie życiem silnem i młodem, jest przejawem—piękna.

Lemonnier pozostaje wiernym samemu sobie. Obszerną jego działalność literacką jednoczy ten kult dla bezpośredniego odruchu siły żywotnej.

Kędyś na przystani, wśród rybaków, ukazał się nieznany nikomu człowiek. Ubrany był jak wszyscy. Miał coś, co starannie krył przed innymi. Oczy jego błyszczały chytrze i niepokojąco. Skoro stanął nad samą wodą, rybacy posłyszeli dzi-

wny jęk; było to coś zbliżonego do płaczu, do dźwięków targniętej wypadkowo struny. Dzieci nie mogły pojąć, skąd ten głos pochodzi. Tylko niektórym rybakom przypomniał się dźwięk, jaki czasem wydają fale morskie—dalej od brzegu. Skoro się zebrała większa ilość ciekawych, człowiek ów począł zbierać datki i wreszcie troskliwie odchylił brzeg swojej bluzy. Ciekawe oczy ujrzały maleńką postać—było to ciało kobiety z kończynami rybiemi. Włos był jasny a oczy szklisto-stalowe. Czerwone usta poruszały się niespokojnie. Piersi małe chwytały ciężko powietrze. Twarz jej wyrażała przerażenie, mękę i tęknotę. Ze złym chichotem nieznajomy schował ją głębiej i odszedł. Powracał codziennie i codziennie zbierał daninę. Upijał się później i krążył nad morzem, mrucząc sam do siebie niezrozumiałe wyrazy. Aż pewnego dnia wypił widocznie więcej, niż zwykle. Nie mógł chodzić i leżał nad samą wodą. Fale uderzały niespokojnie o brzeg, aż wreszcie uniosły się wysoko i jęk żałosny przemienił się w radosny okrzyk wyzwolenia. Ocknąwszy się, człowiek ów nie znalazł tej, którą pokazywał. Wył z rozpaczy. Nie oddalał się z owego miejsca więcej. Wpatrzył swe dzikie oczy w fale, a zdala dochodziła doń pieśń odpływającej boginki. Znaleziono go wkrótce martwym na tem samem miejscu. (La petite femme de la mer)... Tak ujmuje poeta stosunek człowieka do swojej duszy...

Pochłania go problemat misteryum. „Jesteśmy wszyscy prowadzeni przez wciąż odradzającą się siłę. Przybywamy ustawicznie z krainy, którą pozostawiamy za sobą i o której zapominamy. Dążymy ustawicznie ku krainie, której zupełnie nie znamy.” Wieczny ruch odbywa się bez świadomości naszej, a my jesteśmy tylko głosem bezkresnej przemiany. Tajemnicy życia nikt nie może odgadnąć, gdyż istnienie jej jest odwiecznem prawem istnienia. Spokojnie, cicho spogląda on na zwolna płynący bieg rzeki, na porywy serca ludzkiego i tajemnicze jego bicie, bo wie, że w nim tkwi nieśmiertelne drganie życia. Głosu tego nic stłumić nie może, choć człowiek, w którym życie uderza wewnętrznym rozmachem, musi się borykać z przeróżnemi przeszkodami, z—normami (Les deux consciences). Ustawiczna walka czasem w końcu znuży i obali, lecz tryumf życia musi być ostateczny. Bo wszystko przenika „la vie secrète” bo przez wszelką powłokę zwierzchnią przebłyskuje silny promień wewnętrznego światła. Bo życie przepala czasem codzienny szablon trwania i zrywa się nowym, nieznanym wybuchem.

Misteryum życia—to treść rozmyślań artysty. Wczuwa się on w głębie toni i buduje gmach nowy. Tak we wspomnianej powieści „Les deux consciences” artysta tworzy nową moralność. Pastuszkowie, dążący do Betleem, napotkali — Pana, będącego bezpośrednim głosem życia, i ten im prawi o tem, że niezbędnem jest człowiekowi, aby stanął silną stopą na ziemi, poznał wielką radość, idącą z pól i lasów, i zaśmiał się głośnym, serdecznym śmiechem. Piękno tego buntu wewnętrznej jaźni jednoczy się z czarem łąk, dolin, z czarem błękitu nieba i poszeptu wiatru. Łączność z ziemią, ogólne hasło odrodzeniowe końca XIX-ego wieku, stwarza wielkie umiłowanie krajobrazu. Artysta czuje wspólnie ze szmerem kwiatów i szeptem liści; rozkłada cienką pajęczynę uczucia na wątłe gałązki krzewów i uderzenia serca swego łączy z uderzeniem pulsu ziemi. Cicho jest wokoło i pogodnie. Choć niebo nie lśni lazurem, choć nie ma wdali blizkiej ryczących fal i wyjących wichrów, choć wkoło milczy ziemia, oblana potem i wdzięcznie przyjmująca ofiarę trudu, choć cichość zaległa w około, to jednak wśród tej ciszy poeta, ujrzawszy wizyę nową a silną, ma objawienie—nowego piękna. Wśród dolin walońskich, pokrytych zielenią, błądzą cisi, skupieni uczuciowo ludzie, którzy niewiele wiedzą, mało różnorodnie czują, lecz mają w sobie niepokój, który ich wciąż ku czemuś pcha i, radując się własnem istnieniem, radością tą jednoczą się ze wszechżyciem.

Głos ten życia w utworach Camille'a Lemonnier przybiera postać pieśni. Twórczość jego niewiele ma plastyki. Pod względem konturów jest nieco nawet jednostajna i monotonna, posiada jednak dziwną muzyczność. Jako cicha melodya, jak szmer powoli płynącego strumyka ciągnie się pieśń ta przez jego poezyę. A dusza to pogodna, prosta i powściągliwa. Nieco rozpierzchnięty w poruszaniu licznych tematów, umysł jego w istocie swojej pozostaje samym sobą — pogodnym i kochającym. Z kart jego powieści przebija wielki dar kochania, który obcy wszelkiej altruistycznej tendencyjności, oplata czarowną siecią postacie przezeń malowane. Uprzytomnijmy sobie choćby powieść pod tytułem „Le vent dans les moulins”. Jest to utwór o wielkiej prostocie a jednocześnie wielkiej finezyi psychologicznej. Artysta subtelnie oddaje to budzenie się w niezłożonej naturze głosu głębszego życie, wyrażające się w jednolitym rozwoju jego jaźni. Pragnienie tak zwanego szczęścia łączy się z tęsknotą za tak zwanem dobrem. Na jednej łodydze zakwitają liczne, różnorodne kwiaty.

Powściągliwa subtelność odczucia psychologicznego nie jest wspólną całej twórczości literackiej Lemonnier. Napisał on sporo powieści na temat przeważnie światowy, które niczem się nie różnią od przeciętnych romansów fejletonowych; czasem zabłyśnie w nich żywsza iskierka, czasem oderwie się głośniejszy dźwięk, pochodzący z innego świata. Obok nich istnieje cały szereg utworów poważnych, szczerze artystycznych, głęboko pomyślanych i odczutych. Treść ich opiera poeta przeważnie na odgłosach krainy ojczystej. Jest ona nieco odrębną od krainy, będącej tematem innych poetów belgijskich. Ojczyste jego strony to ziemia zbliżona do Wallonii. Płaszczyzny są tu mniejsze, otoczone wzgórzami. Pełno zielonych dolin i liściastych lasów. Poeta po mistrzowsku chwyta właściwy charakter krajobrazu i łączy go z wewnętrzną tajemnicą duszy ludzkiej. Za przykład powagi artystycznego odtwarzania tej duszy po za wspomnianymi utworami służyć może też powieść „Claudine Lamour” napisana na temat ulubiony współczesnym powieściopisarzom francuskim. Ta śpiewaczka z Variétés pomimo powierzchownej niewyrazistości pociąga ku sobie logiczną konsekwencyą typu i dyskretnem podkreśleniem falowania pulsu życia. Puls życia u Lemonnier nie jest orkanem, nie wydobywa się na plan pierwszy, lecz uderza cicho i powściągliwie, zagłuszony wrzawą uliczną; tem nie mniej nie milknie i wiecznie kieruje istnieniem ludzkiej istoty, jako niewidzialna a potężna ręka zaświatowego fatum. Nie czyni on zbytniej męki, jest bowiem łącznością wszech stron istnienia. Jest on życiem samem, które przełamuje tamy nieświadomości i dąży do rozkwitu tysiącznemi barwy.

Zbigniew Brodzki.



SPRAWY EKONOMICZNE

Gubernia Suwalska.

STAN EKONOMICZNY

(Ciąg dalszy).

Stan właścicieli drobnych, włościan, jest o wiele lepszy; mniej wymagający, oszczędni i pracowici trzymają się swych gospodarstw. Nie odczuwają oni tak silnie kryzysu rolnego ponieważ, posiadając mało zboża, mniej są zależni od rynków zbytu, mniej zmuszeni są nabywać, darmo mają swoją pracę, nie potrzebują dozorców, nie wydają na kształcenie dzieci i inne niezbędne potrzeby właścicieli dworów.

Nieliczni włościanie, którzy skorzystali z pożyczek Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, pożyczek tych użyli na spłatę rodzeństwa i dziś choć z trudem uiszczają się powoli z długu.

Operacye Banku włościańskiego w gub. Suw. zdarzają się bardzo rzadko — przez cały czas swego istnienia t. j. od 1888 roku instytucya ta pomogła do kupienia zaledwie 36 osad włościańskich na przestrzeni 517 dziesięcin, a cała suma obciążająca tę przestrzeń 1 stycznia 1903 roku wynosiła 37,798 r. Szacunek banku nie dorównywał wartości nabywanej ziemi, wynosił on 105 rb. za dziesięcinę, na której kupno Bank wydawał średnio 76 rubli.

Ponieważ osady włościańskie w rzadkich bardzo wypadkach mają urządzone hypoteki, trudno mieć pojęcie o ich obdłużeniu prywatnem, jedno tylko wiadomo, że kredyt włościański jest stosunkowo bardzo drogi i zupełnie nieuregulowany. Istniejące prawo zakazu kupna, wydzierżawiania i zastawu osad włościańskich w ręce osób innego pochodzenia, utrudnia nadzwyczaj ten kredyt, podnosząc ryzyko wierzyciela i zniechęcając wszelkie warstwy do udzielania kredytu włościanom. Wyżej wymieniony zakaz byłby racyonalnym w takim tylko razie, gdyby włościanie posiadali instytucyę kredytową odpowiednią do swych potrzeb. Że taką instytucyą nie może być dla naszych włościan „Bank włościański”, dowodzą tego jasno wyżej przytoczone cyfry jego obrotów.

Na całe Królestwo istnieją trzy oddziały banku: w Warszawie, Piotrkowie i Lublinie—jakim więc sposobem korzystać z niego może włościanin, zamieszkały w gub. Suwalskiej, nierozumiejący w większości wypadków polskiego i rosyjskiego języka i niemający pojęcia o tem, gdzie są te oddziały.

Kredyt miejski zorganizowano u nas lat temu parę, urządzając Towarzystwo Kredytowe Miejskie w Suwałkach. Dotychczas t. j. do 1 Stycznia 1905 roku instytucya, wydając pożyczki tylko na nieruchomości miejskie w Suwałkach, wypożyczyła 795,000 rb. Zarząd robi starania o rozszerzenie działalności na miasta prowincyonalne; jak dotychczas starania te nie odniosły skutku.

Wartość dóbr nieruchomych i dochody.

Powiaty gub. Suwalskiej pod względem przestrzeni, gatunku ziemi i jej wydajności przedstawiają wielką rozmaitość. Ponieważ największą przestrzeń zajmują

grunta włościańskie, od nich więc zacznę. Największa, przeciętna cena ziemi włościańskiej wykazana jest przez inspektorów podatkowych w powiatach:

Sejneński	39 rb. za mórg	z dochodem 1 r. 57 k. z m.
Augustowski	39 r. 15 k.	1 r. 57 k.
Suwalski	41 r. 47 k.	1 r. 66 k.
Maryampolski	64 r. 83 k.	2 r. 59 k.
Kalwaryjski	66 r. 68 k.	2 r. 67 k.
Wyłkowyszski	70 r. 50 k.	2 r. 82 k.
Władysławowski	78 r. 11 k.	3 r. 12 k.

przeciętna cena morga w całej guberni 57 rb. 89 k. z dochodem 2 rb. 32 k.

Cena ziemi w powiatach północnych jest wszędzie wyższa od przeciętnej dla całej guberni, w południowych niższa, to samo ma się z dochodem; różnica między ziemią na południu i północy jest tak wielka, że cena morga w powiecie Władysławowskim i dochód z niego są dwa razy większe od ceny i dochu z morga w powiecie Sejneńskim.

Jeżeli pomnożymy ogólną przestrzeń ziemi włościańskiej 1,113,604 morgów, na przeciętną wartość morga w guberni 57 r. 89 k., otrzymamy wartość całej ziemi włościańskiej w sumie *64,466,535 r. 56 k.* z dochodem *2,583,561 r. 28 k.*

Cena ziemi dworskiej i dochód z niej różni się nieco od włościańskiej; podług danych, opartych na wyliczeniach Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, Banku włościańskiego i inspektorów podatkowych, mórg ziemi w powiecie:

	przedstawia wartość	przynosi dochodu
Sejneńskim	33 r. 82 k.	1 r. 35 k.
Augustowskim	36 r. — k.	1 r. 44 k.
Suwalskim	41 r. 50 k.	1 r. 66 k.
Maryampolskim	50 r. 14 k.	2 r. 01 k.
Władysławowskim	53 r. 51 k.	2 r. 14 k.
Kalwaryjskim	62 r. 54 k.	2 r. 80 k.
Wyłkowyszskim	72 r. 28 k.	2 r. 89 k.

przeciętna cena morga w całej guberni 49 r. 60 k. i przynosi dochodu 1 r. 95 kop.

W poszczególnych powiatach ceny ziemi różnią się w stosunku do cen ziemi włościańskiej, utrzymuje się jednak w zupełności podział guberni na powiaty północne i południowe.

Wartość ziemi dworskiej, przy ogólnej przestrzeni tej kategoryi gruntów 472,632 morgi wynosi *23,442.547 rb. 20 kop.* z dochodem *921,632 rb. 40 kop.* Ziemia rządowa przedstawia przestrzenie leśne, więc też i ceny tej ziemi są znacznie wyższe—mórg ma wartość w pow.:

Wyłkowyszskim	130 r.	z doch. 1 r. 30 k.
Sejneńskim	205	2 r. 05 k.
Władysławowskim	221	2 r. 21 k.
Maryampolskim	245	2 r. 45 k.
Augustowskim	301	3 r. 01 k.
Kalwaryjskiem	305	3 r. 05 k.
Suwalskim	410	4 r. 10 k.

w całej guberni przeciętnie 261, z dochodem 2 r. 61 k.

Na ziemiach leśnych, gdzie sosna rozwija się wspaniale na gruntach piaszczystych, stosunek wartości ziemi zmienił się na korzyść powiatów południowych i daje wskazówkę właścicielom piasków i nieużytków, że zalesienie nieurodzajnych przestrzeni mogłoby znacznie podnieść i wartość i dochody z tej ziemi. Ogólna przestrzeń gruntów rządowych w całej gubernii wynosi 374,657 morgów, przy cenie więc 261 r. za mórg całość przedstawia wartość 977,854 r. 70 k. z dochodem 9,778,547 ogólna zatem wartość ziemi w gub. Suwalskiej przedstawia poważną sumę 184,694,559 rb. z dochodem 13,283,740 rb.

Zestawiając dochody poszczególnych kategoryj, widzimy, że wartość ziemi dworskiej i jej dochody są prawie trzy razy mniejsze od wartości i dochodów ziemi włościańskiej; następnie że ziemia włościańska razem z dworską, do której wliczone są majoraty, stanowią wartość mniejszą od wartości ziemi rządowej i mniej przynoszą dochodu.

Do osad należy 37,710 morgów — mórg ziemi oszacowanym został w celach podatkowych na 41 r. 75 kop., dochód zaś z morga wykazany na 1 r. 67 k. Ogólna zatem wartość ziemi w osadach wyniesie 1,574,392 r. 50 k., z dochodem 61,995 r. 70 k., jeżeli dodamy do tego wartość domów podług oszacowania asekuracyjnego—2,017,350 rb., otrzymamy ogólną wartość majątkową w osadach w wysokości 3,591,742 rb. 50 kop. Cała więc wartość nieruchomości w gub. Suwalskiej przedstawia się tak:

Wartość ziemi	184,694,559 r.	z dochodem 4,483,048 r.
War. os. z domami	3,591,742 r.	61,995 r.
Nieruchomości miejskie	5,344,040 r.	267,202 r.
Zakłady z przemys.	974,690 r.	115,781 r.
razem	194,605,031 r.	4,928,026 r.

Z wszystkiego tego jest widocznem, że gubernia Suwalska jest czysto rolniczą, położenie jej jest gorszem od innych z tego względu, że połowę jej wartości stanowią lasy rządowe, a znaczną część ziemi dworskiej — majoraty, które będąc własnością osób zamieszkałych po za granicami kraju, nie mogą się przyczyniać do podniesienia kultury w guberni w odpowiednim stopniu. Pomimo najlepszej administracyi, nie sposób dla osiadłych na nich administratorów przeprowadzać ulepszeń, wymagających wielkich nakładów, które mogą się opłacić jedynie właścicielowi.

Opodatkowanie.

Królestwo Polskie opłaca rządowi podatki od ziemi i od dymu. Oba one dzielą się na: główny i dodatkowy. Rocznie wnosi Królestwo z ziemi dworskiej 3,398,273 rb. z czego na gub. Suwalską przypada 139,490 rb. Pod względem ogólnej ilości tego podatku gub. Suwalska zajmuje ostatnie miejsce w szeregu innych w Królestwie, pomimo że podatek 29,5 od morga jest wyższy, niż w gub. Siedleckiej 24,2; Lubelskiej 26,5 i Łomżyńskiej 27,6.

W poszczególnych powiatach wysokość podatku wynosi:

Powiaty	Z morga	Ziemski główny	Ziemski dodatkowy	Podymny główny	Podymny dodatkowy	Razem
Sejneński	18,8	9617	3366	3636	784	17411
Augustowski	22,3	8884	3113	[illegible]	629	16012
Suwalski	26	5177	1882	1970	448	9687
Władysławowski	29,0	9900	3105	2875	627	16272
Kalwaryjski	35,3	13395	4685	3598	939	22653
Maryampolski	35,1	16336	5718	4300	1282	27637
Wyłkowyszski	40,5	17665	6183	4491	1460	29798
Ogółem	29,5	81184	28415	25572	6169	139490

Jeżeli zestawimy wysokość podatku z morga, z ceną ziemi i dochodem, znajdziemy pewne nieustosunkowanie, będące w zależności od zapatrywań izb skarbowych na informacye Towarzystwa Kredytowego i inspektorów podatkowych. W każdym jednak razie przyznać należy, że podatek rządowy jest obliczony najproporcyonalniej do wartości i dochodu ziemi w porównaniu z innemi kategoryami podatków, jest on wzięty przeciętnie w stosunku 0,56 proc. wartości, oraz 13,9 proc. dochodu z morga.

Podatki na potrzeby gminy nie są tak dobrze rozłożone i rażą wprost nieproporcyonalnością w stosunku do wartości ziemi i dochodu z niej. Największy podatek płaci

pow. Suwalski	8,9 k. z morga	czyli razem 3313
Wyłkowyszski	8,4	6159
Kalwaryjski	7,4	4717
Maryampolski	7,4	5776
Władysławowski	5,6	3074
Augustowski	5,5	3964
Sejneński	4,8	4498
w całej gubernii	6,7	31,501
Jeżeli dodamy do tego podatek z ziemi rządowej		3594
otrzymamy razem na cele gospodarcze		35,095

Z podatku tego gminy wydają:

Na utrzymanie sądów gminnych	3521 r.
Na transporta	844 r.
Na drogi	15,743 r.
Na instytucye dobroczynne	3,394 r.
Na koszta lecznicze	4,160 r.
Na lokale aresztów	761 r.
Na szkoły	6,672 r.

Na utrzymanie instytucyj gminnych ziemie dworskie płacą z morga w pow.:

Augustowskim	6,4 k.
Władysławowskim	4,2 k.
Wyłkowyszskim	8,1 k.
Kalwaryjskim	7,3 k.
Maryampolskim	6
Sejneńskim	4,7 k.
Suwalskim	4,6 k.

razem w guberni 6 kop. z morga w ogólnej sumie 28,252 r.
i z ziemi rządowej 7,454 r.
czyli ogółem 35,706 r.

Ogół podatków z morga ziemi dworskiej wynosi w pow.: Augustowskim 34,2 k.; Władysławowskim 39.4; Wyłkowyszskim 57; Kalwaryjskim 50; Maryampolskim 48,7; Sejneńskim 28,3; Suwalskim 39,5; w całej guberni 42,2 kop. Z zestawienia tego widać, że najbiedniejszy prawie powiat Suwalski płaci więcej podatku z morga, niż najbogatszy Władysławowski.

Do wyliczonych wyżej podatków należy dodać jeszcze powinności w naturze, które przeciętnie wynoszą, zamienione na pieniądze, 5,5 kop. z morga w całej guberni, asekuracyę, kościelne, podatek od bydła i rozmaite grzeczności, co razem wyniesie około 1 r. z morga.

(C. d. n.)

St. Staniszewski.

Życie publiczne w Rosyi.

Now. Wrem. pisze o wydarzeniach w Moskwie:

„Większość drukarni stanęła. Pracownicy wyłuszczyli swoje żądanie i rozeszli się spokojnie. W niektórych drukarniach porzucono pracę jedynie z obawy zemsty towarzyszów. Jakoż niewiele tylko zakładów domaga się

podwyżki płacy, inne zaś świętują w imię solidarności. Gdzie niema policyi, strajkujący rozpędzają pracujących. Przed drukarnią Towarzystwa Lewensona nadciągających strajkowców spotkał oddział żandarmów i policyantów. Nastąpiło starcie; wielu zecerów aresztowano.

W całym ruchu, oprócz względów ekonomicznych, główną rolę grają pobudki polityczne. Powiadają, że kierownikami ruchu są zecerzy, przybyli z Baku, Tyflisu i innych miast. Uwięziono kilku zecerów drukarni miejskiej, albowiem wykryto, iż składali komitet główny do urządzania zmów.

Wieczorem olbrzymi tłum robotników, głównie drukarzy, urządził manifestacyjny pochód ulicami Twerską, Wielką Dmitrówką i innemi. Śpiewając pieśni rewolucyjne i krzycząc, tłum doszedł do drukarni *Mosk. wiedomosti*, powybijał szyby w oknach i zmusił tamecznych zecerów do porzucenia pracy. Acz-kolwiek drukarnię tę otoczył szybko oddział policyi, zecerzy musieli zaniechać zajęć i rozeszli się. Oprócz *Mosk. wiedomosti* nie wyjdą również i inne pisma. Kilka zakładów, drukujących gazety, pracuje pod silną strażą.

Bezrobocie tramwajów elektrycznych trwa; bardzo niewiele wagonów krąży, ale prawdopodobnie i te staną. Zarząd miasta obawia się mocno strajku robotników wodociągowych.

Do tegoż dziennika telefonują z Moskwy d. 6 go b. m.:

Dziś stanęły wszystkie drukarnie. Tłumy zecerów pospołu z innemi osobami cały dzień wywoływały rozruchy. Po dwustu — trzystu ludzi przebiegało ulice i wybijało szyby w czynnych jeszcze drukarniach, zmuszając pracujących do porzucenia zajęć. Śród ciżby widać sporo osób, wyzyskujących strajk gwoli celom politycznym. W miejscowości Czyste Prudy i na bulwarach odbywały się wiece strajkowców. Rozpędzani w jednem, zgromadzali się wnet w innem miejscu. Trwało to przez dzień cały. Na bulwarze Twerskim wiec trwał cały wieczór; wypowiadano mowy. Na placu Strastnym obozuje piechota i pułk kozaków.

Wszyscy inżynierowie, zawiadujący urządzeniami miejskiemi, zwrócili się do zarządu miasta z prośbą o niezwłoczne zadośćuczynienie wszystkim żądaniom oficyalistów miejskich, albowiem w przeciwnym razie wodociągi rzeźnie i kanalizacya przestaną niechybnie działać. Inżynierowie przeto zawczasu składają z siebie odpowiedzialność za możliwe bezrobocie. Zarząd miasta obradował dzisiaj dzień cały i postanowił zadość uczynić wszystkim żądaniom robotników. Nadto zarząd zwróci się do rady miejskiej o zaprowadzenie dziewięciogodzinnego dnia pracy. Zarazem zarząd miejski postanowił oświadczyć robotnikom, że jest to kres jego ustępstw.

Właściciele drukarni odbyli również naradę i uchwalili, iż nowa podwyższka pracy jest niemożliwa, gdyż po niedawnej podwyżce drukarnie zaledwie wiążą koniec z końcem. Postanowiono więc zawiadomić pracowników, ażeby bądź powrócili do zajęć, bądź też zgłosili się do biur policyjnych, gdzie właściciele złożą ich pasporty i należności.

Ruś otrzymała jeszcze następujące wiadomości telefoniczne: Na Twerskim i Strastnym bulwarze wystrzałem z rewolweru zabito oficera żandarmeryi. Ciężki kamień zabił policyanta. Oprócz tego były przypadki poranienia bronią sieczną, nahajkami oraz kamieniami. Do użycia broni palnej wojsko nie uciekało się. O g. 7 wieczorem porządek przywrócono. Na linii tramwaju elektrycznego kursowały tylko dwa wagony. Wodociągi miejskie są strzeżone przez oddział kozaków.

Syn Otiecz. pisze w artykule wstępnym: „Ogólna fama wysuwa obecnie S. J. Wittego na proscenium wypadków. Czego oczekuje S. J. Witte i czego spodziewa się po nim społeczeństwo? O ile objaśnia się to z oderwanych i czasem sprzecznych nawet wiadomości gazeciarskich, na S. J. Wittego postanowiono włożyć nowy obowiązek bez porównania cięższy i więcej skomplikowany, aniżeli zawarcie pokoju z Japonią. Zamierzono mianowicie utworzyć gabinet ministrów, którego celem byłoby zjednoczenie i wzmocnienie mechanizmu rządowego, i postawić na jego czele S. J. Wittego, jako człowieka dość popularnego, aby pogodzić społeczeństwo z biurokracyą. Wyrażając się figlarnie, przyszły kierownik gabinetu ma za zadanie zawrzeć nową umowę pokojową, tym razem wewnątrz państwa. Czy jednak zadanie to jest wykonalne? Odpowiedź kategoryczna na to pytanie jest teraz prawie niemożliwa, ale sceptycyzm ma za sobą sporo danych. S. J. Witte jest jedynym człowiekiem, który dość wyraźnie odbija się na bladem tle naszej biurokracyi, dlatego cieszy się pewną popularnością w społeczeństwie.

Giętki umysł jego wskazywany jest przez wielu jako ten, który ma odegrać wybitną rolę w sprawie odświeżenia organizmu państwowego. Ale przedewszystkiem niepodobna dopuścić, aby jedna osoba, z pewną w dodatku przeszłością i określonemi tradycyami, zdolna była odwrócić koło historyi i odegrać rolę decydującą o losach jednego z największych w świecie narodów.

Tradycya przeszłości paraliżuje niejednokrotnie najsilniejszą nawet wolę i zmusza człowieka do wahania się w chwili, gdy stanowczy zwrot koła, kategoryczne zerwanie ze starem i przejście do nowego stanowi jedyną rękojmię powodzenia. Inaczej pozycya jego okaże się chwiejną, jego czynności będą hamowane na obu skrzydłach, a umysł zaplącze się w sofizmatach i sprzecznościach.

Drugim warunkiem jest nieprzecenianie samego siebie. Tam, gdzie w grę wchodzą najlepsze siły kraju, nie może być mowy o dyktaturze. Wszelkie usiłowanie w tym kierunku natknie się w sposób nieunikniony na reakcyę, ponieważ w sferze twórczości duchowej wolność i równość pracy wypływa z samego jej charakteru. Można wyzyskać swój wpływ dla osłabienia przeciwników, lecz nie wolno bezkarnie nadużywać go dla poddania swej woli i swym zmysłom własnych sojuszników. Te krótkie rozważania nie dają jeszcze oczywiście, dostatecznej odpowiedzi na pytanie: czy zdolny jest S. J. Witte do roli pacyfikatora wewnętrznego?

Jeżeli współdziałanie „wolnego ludu amerykańskiego” oddało naszemu pełnomocnikowi i całej Rosyi dużą usługę w Portsmucie, to daleko lżejszą i sympatyczniejszą stałaby się praca tego męża stanu, gdyby chciał się szczerze i z zaufaniem oprzeć na poparciu własnego, uwolnionego narodu. Czy zdolny jest S. J. Witte, dotychczas najwybitniejszy przedstawiciel biurokracyi, wyrzec się jej i wejść na nową drogę, tego jeszcze nie wiemy”.



— Na posiedzeniu specyalnej narady do spraw prasowych uchwalono wszystkie przepisy, ustanowione przez naradę dla prasy rosyjskiej, rozszerzyć i na prasę wszystkich innych narodowości w państwie.

Sprawy społeczne i polityczne. Inteligencya polska w Kijowie stara się o pozwolenie na urządzenie w r. b. w tem mieście odczytów w języku polskim Ci sami ludzie zamierzają przystąpić niezwłocznie do wydawania tanich książek ludowych w języku polskim.

— Wielu radnych miasta Moskwy na posiedzeniu z dn. 3-go października entuzyastycznie dziękowało p. A. Guczkowowi za to, że na zjeździe działaczów ziemskich potępił myśl federacyjnego ustroju Rosyi i oświadczył się przeciwko autonomii Polski.

— W Moskwie strajkujący piekarze wywołali rozruchy uliczne.

— W sprawie używania języka polskiego w biurowości, korespondencyi, ministeryum wyjaśniło, że w języku rosyjskim powinny być prowadzone wszystkie księgi i dokumenty, podlegające rewizyi osób urzędowych, a więc i księgi gminne, podlegające rewizyi gubernatora, naczelników powiatów, komisarzy do spraw włościańskich oraz inspektorów podatkowych, wyjąwszy korespondencyę z osobami podwładnemi, która może być załatwiona w języku polskim, ale i w tym razie używanie języka polskiego jest tylko dozwolonem, nie obowiązującem, i może być zniesione z rozporządzenia następnego zebrania gminnego.

— *Ruś* uważa, że wobec naznaczenia terminu wyborów gminnych najpóźniej na 18 grudnia a gubernialnych na 28 grudnia, czas dla agitacyi przedwyborczej jest zbyt mały, zwłaszcza, że brak wolności prasy nie pomaga obywatelom do oryentowania się i wybrania najgodniejszych przedstawicieli.

— Na wezwanie generał-gubernatora niektóre instytucye miejskie wybrały przedstawicieli do komisyi, mającej opracować główne zasady ustawy samorządu miejskiego.

— *Praw. Wiestn.* ogłasza okólnik ministra spraw wewnętrznych, zabraniający przedstawicielom władzy wszelkiego, nawet najbardziej odległego odziaływania i mieszania się do sprawy wyborów do dumy państwowej.

— W Petersburgu ma być aż 5,300 kobiet, posiadających cenzus majątkowy, które ze swych praw bezpośrednio korzystać nie mogą.

— Według *Kij. Słowa* ministeryum nie zamierza wydawać żadnych cyrkularzy w sprawie wyborów do Dumy Państwowej, gdyż rozstrzyganie co do tego prawnych wątpliwości należy do kompetencyi Senatu. Ministeryum nie chce wpływać na tworzenie list wyborczych, pozostawiając zarządom ziemskim i miejskim zupełną swobodę działania.

— W rozmaitych miejscowościach Rosyi wiele osób, posiadających odpowiedni cenzus wyborczy, nic nie wiedziało o przysługujących im prawach i niechętnie przyjmowało urzędników, zbierających wiadomości o cenzusie wyborczym.

— Przed sądem ławniczym w Gnieźnie stawali oskarżeni o nieposyłanie dzieci do szkoły: wdowa Barłogowa i robotnik Nowakowski. Zeznania składały dzieci oskarżonych, które wykazały niesłychane znęcanie się nad niemi nauczyciela Walitschka, aż do zadania ran i przyprawienia o chorobę. Sąd tylko Berłogową uwolnił od kary. Walitschek nie został pociągnięty do odpowiedzialności.

Zaburzenia i zamachy. W Radomiu d. 7 b. m. były uczeń gimnazyum, Zbrowski, rzucił bombę na oficera, idącego ulicą. Bomba nie wybuchła. Strażnika ziemskiego, który usiłował zatrzymać Zbrowskiego, tenże wystrzałem z rewolweru położył trupem, poczem sam sobie odebrał życie.

— W Białymstoku, w mieszkaniu Dawidsona dn. 5 b. m. policya wykryła tajną drukarnię, świeżo wydrukowane proklamacye w języku polskim, rosyjskim i żydowskim oraz dwie bomby, już napełnione. Dawidsona i pannę Majsel, która w chwili rewizyi znajdowała się w mieszkaniu, aresztowano. Dzień przedtem na cmentarzu żydowskim wysadzono w powietrze duży pomnik. Sprawcy zbiegli.

— Dn. 7 b. m. tak zwani „bryczkarze” zamordowali 2 osoby i zranili 5 w dzielnicy żydowskiej, mszcząc się za śmierć Fiszla Frydkowskiego, zabitego za kradzież i nożowiectwo. Policya aresztowała 12 bryczkarzy, kierowników napadów.

— Dn. 2 października dokonano zbrojnego napadu na kopalnię rudy żelaznej „Zygmunt” we wsi Jędrzejowice, w pow. opatowskim. Napastnicy zrabowali ze składów 182 funty dynamitu, 262 paczki lontów i 5000 kapiszonów. Wszyscy zbiegli niepoznani.

— Warszawski sąd wojenny skazał na karę śmierci Joska Oryma, oskarżonego o zabójstwo kozaka Łukowa.

Bezrobocia. W Berlinie strajkuje 40,000 robotników przedsiebiorstw elektrycznych. Zawieszono również roboty w zakładach tramwajów elektrycznych i oświetlenia. Robotników zastępują inżynierowie i słuchacze wyższych kursów.

Sprawy szkolne. O wiecu studenckim w uniwersytecie warszawskim pisze *War. Dn.*, że studentów zebrało się przeszło 800. Po otwarciu obrad, należący do różnych organizacyj, wnieśli protest przeciw wiecowi, na którego wyjednali pozwolenie nienależący do żadnych. Świeżo zapisanych do uniwersytetu uczestnicy organizacyj pozbawili głosu, karząc ich w ten sposób za usankcyonowanie jakoby przez zapisanie się rozpoczęcia wykładów. Wiec po 11 godzinnych obradach rozszedł się, nie powziąwszy żadnej uchwa

ły. Sprawa otwarcia uniwersytetu i wznowienia zajęć nie była rozpoznawaną. Studenci Rosyanie postanowili zebrać się nazajutrz i powziąć jakąś uchwałę w tej sprawie.

— W roku bieżącym do gimnazyów żeńskich zapisała się znaczna ilość żydówek; w jednem np. z ogólnej liczby 255 jest tylko 74 katoliczki, 17 prawosławnych a 164 żydówki.

— Czytamy w *Warsz. Dn.* że w 13 szkołach handlowych w Królestwie 130 z górą nauczycieli, Rosyan, utraciło posady.

— Komitet Muzeum Przemysłu i Rolnictwa zamierza urządzić w gmachu Muzeum systematyczne, dla wszystkich dostępne, wykłady z dziedziny nauk przyrodniczych i matematyki.

— *Warsz. Dn.* oblicza, że studenci uniwersytetu, politechniki i instytutu weterynaryjnego przynoszą miastu około 3 mil. rb. dochodu.

— Na wiec w uniwersytecie moskiewskim, w którym pozwolono brać udział tylko studentom, zgłosiło się wielu obcych. Tłum, liczący do 3,000 osób, zachowywał się wyzywająco, więc rektor, uważając takie skupienie żywiołów obcych za grożące niebezpieczeństwem tak uniwersytetowi, jak i uczestnikom wiecu, wezwał komisyę rady uniwersyteckiej, komisya zaś uchwaliła zamknąć uniwersytet na czas pewien. W południe zebrał się tłum półtoratysięczny studentów i wysłał do rektora deputacyę z prośbą, aby pozwolił na odbycie wiecu. Wiec odbywał się trzy godziny. Do wiecowników przybył rektor i zaproponował studentom, aby na przyszłość nie wpuszczali osób obcych do gmachu uniwersytetu. Wiec, uznając, że skład jego jest istotnie przypadkowy, wyprawił do rektora deputacyę z prośbą, aby pozwolił studentom urządzić wiec w ciągu dwóch dni najbliższych, celem omówienia sprawy przez rektora poruszonej. Rektor odpowiedział, że zbierze radę uniwersytecką w tej sprawie. Uniwersytet otwarty będzie w sobotę lub wtorek najpóźniej.

— Na dyrektora politechniki warszawskiej obrano prof. Łagorio.

— W Petersburgu odbył się wiec studentów Polaków, który omawiał sprawę stosunku stronnictw polskich względem siebie i względem Rosyan oraz sprawę szkolną w Król. Polskiem.

— Rada profesorów uniwersytetu warszawskiego postanowiła: 1) wystąpić niezwłocznie do ministeryum oświaty o utworzenie katedry literatury i języka polskiego; 2) odebrać inspekcyi władzę samodzielną, pozostawiając jej jedynie charakter informacyjny, wszcząć starania o przywrócenie wykładów historyi polskiej i historyi prawodawstwa polskiego w języku polskim. Zaprojektowano również powołanie na katedry profesorów i prywat-docentów Polaków. Rada profesorów uniwersytetu warszawskiego zwróciła się do ministeryum oświaty o pozwolenie urządzenia wiecu studenckiego w uniwersytecie.

— Zarząd warszawskiego Tow. Dobroczynności uzyskał pozwolenie na otworzenie i prowadzenie szkoły ochroniarek. Szkoła będzie się mieściła przy ul. Hożej, pod Nr. 9.

— Do uznania Dumy państwowej ma być wniesiony projekt prawa o dopuszczenie kobiet do wyższych zakładów naukowych.

— Towarzystwo studentów Polaków „Spójnia" w Paryżu, rue Serpente 34, udziela wszelkich objaśnień co do pobytu oraz warunków przyjęcia do wszystkich zakładów naukowych w Paryżu.

Wiadomości naukowe. Na kongresie przeciwgruźliczym w Paryżu d. 7 października prof. Behring oznajmił przeświadczenie swoje o skuteczności leczenia gruźlicy za pomocą uodporniającej szczepionki cielęcej, której wartość stwierdził na bydle rogatem i przypuszcza, że dałoby się zastosować ją w leczeniu gruźlicy u ludzi

Literatura i sztuka. We wsi Smolczycach w pow. nowogrodzkim, w gub. mińskiej odnaleziono w starym kufrze na strychu nieznany utwór Mickiewicza, pisany jego własną ręką, p. t. „Szczupak Kołdyczewski— Ballada dla Michała Wereszczaki" — pochodzący z tych zapewne czasów, kiedy Mickiewicz bywał częstym gościem w domu Wereszczaków.

Prasa. Komitet centralny zjazdu działaczów ziemskich i miejskich wniósł do głównego zarządu prasy podanie o zezwolenie na wydawanie w Petersburgu dziennika, poświęconego kwestyom, związanym ze sprawą wyborów do sejmu państwowego.

— Naczelnikowi głównego zarządu do spraw prasowych, Belhardtowi, polecono ułożyć przepisy rozszerzające prawa wydawnictw, podlegających cenzurze, na czas wyborów.

Wiadomości ekonomiczne. Zarząd miasta Warszawy uznał konieczność utworzenia giełdy mięsnej na wzór paryskiej, polepszenia warunków przewozu mięsa kolejami żelaznemi i utworzenia osobnego cechu koszernych rzeźników, żydów.

— Przemysłowcy naftowi uważają za możliwe rozpoczęcie robót w Baku pod warunkiem rozlokowania w zakładach wojska i wzmocnienia kadrów policyi; tę ostatnią zgadzają się wziąć na swe utrzymanie w ciągu 2—3 miesięcy.

— *Weg* donosi, że pewien żyd warszawski wyjechał do Londynu i tam wstąpił do fabryki naczyń z szarej stali oksydowanej. Użycie tych naczyń, dość u nas rozpowszechnionych, dawało zagranicy zarabiać miliony rubli na nas, gdyż nikt nie znał sekretu oksydowania stali. Ten żyd tajemnicę jednak zbadał, powrócił do Warszawy i zakłada fabrykę.

Komunikacye i drogi. Kolej Kaliska została już połączona z kolejami pruskiemi.

Odpowiedzi Redakcyi.

P. L. Zaleskiemu w Tymionkach-Szklarzach. Żadna księgarnia takich książek, o ile wiemy, nie wypożycza, prędzej czytelnie. Niech się Pan zwróci do *Czytelni dla Wszystkich*, Mazowiecka 11.

OFIARY.

Dla potrzebujących pomocy. H. Singer z Łodzi 15 rb.

Dla głodnych. W. Dembowski z Czerniajewa 15 rb.; Wanda Librowicz, zebrane w Żytomierzu 19 rb.; J. J. i H. J. z Ponieweża 3 rb.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено цензурою Варшава, 29 Сентября 1905 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego,—Mazowiecka 8.